Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI. Niedziela, dnia 21 sierpnia 1938 r. Nr. 34



MARIA REUTT

POD OBUCHEM POSĄDZENIA

Nie powiedziała więcej nic, ale pierś jej podniosła się cichym westchnieniem. Ona tak się boi nieznajomych ludzi!

— Od kiedy chcesz zacząć te wizyty? — spytała.

— Od jutra.

Wyjął ołówek i na marginesie gazety pisał długą listę.

— Starosta, naczelnik Izby Skarbowej, dyrektor Banku Polskiego, dyrektor Banku Rolnego, sędzia Baranowski, prokurator Butkiewicz, prokurator Dubojski, wicedyrektor banku Junkiewicz, doktór Kaczanowski, inżynier Karpowicz, adwokat Laudański, adwokat...

Przeraziła się. — Aż tylu — szepnęła pobladłymi ustami.

— To jeszcze nie wszyscy — pocieszył ją.

A więc byli i u Abrahim-Abrahimów i u Pieredziczów i u Bogatko i Baranowskich i u wielu innych, aż jej się w głowie kręciło od nazwisk i odbicia się tylu twarzy, od wysłuchania tyle razy: — Jak się pani podoba Wjunogród... „to taka wstrętna dziura"... „to wcale niezłe miasteczko, lepsze i czystsze od innych"... „to było wcale ładne miasteczko przed wojną". To ostatnie zdanie zafrapowało ją bardzo, gdyż słyszała od rodowitych Wjunogrodzian, że przed wojną tylko jedna główna ulica, zwana Aleksandryjską, miała bruk i chodniki, reszta wraz z rynkiem tonęła w prawdziwym poleskim bagnie. Zdarzyło się zaraz po wojnie jeszcze, że podczas wiosennych roztopów na ulicy zwanej Jasną utonął chłop z wozem. W tym ładnym i schludnym przed wojną miasteczku, dopiero Niemcy, którzy w swym bojowym zapędzie oparli się o Wjunogród, wybrukowali ulice główniejsze i rynek, który nazwali Wilhelmsplatz, zaprowadzili elektryczność, zmusili ludność do pobielenia domków i do zamiatania ulic, a nawet obsadzili niektóre ulice drzewami, położyli chodniki.

Nie sprzeczała się, bo i po co. Jeżeli im zostało takie miłe wrażenie po rosyjskich rządach, to nie wybije ona im ich z głowy, a może się tylko narazić. Zresztą przyzwyczajenie staje się drugą naturą, a można się do wszystkiego przyzwyczaić.

Szła raz z mężem, gdy przyłączył się do nich urzędnik magistratu, człowiek na pozór bardzo kulturalny. Mijali Żyda, który bez ceremonii odcharknął, splunął soczyście na chodnik i wytarł ręką nos, rzucając wydzieliny przed siebie. Pełna oburzenia zwróciła się do urzędnika z uwagą, że powinni ogłosić zakaz i nałożyć kary na takie wstrętne, obrzydliwe zaśmiecanie ulicy. Na to ów urzędnik odpowiedział dobrodusznie i spokojnie:

— Mnie to nie razi, nie można go przecież zmusić, by kupił sobie chustkę.

Nic więc dziwnego, że ta obywatelka miasta Wjunogrodu, żywszy się z brudem i niechlujstwem rosyjskim, uważała, że dawniej Wjunogród był ładniejszy i czystszy, więcej kulturalny niż teraz z brukami, z chodnikami asfaltowymi, z ulicami, wysadzanymi drzewami i przymusowo sprzątanymi przez gospodarzy domów, z elektrycznym oświetleniem i szeregiem nowych, piętrowych, murowanych gmachów.

— — — — — — — — —

Po szeregu tak forsownie składanych wizyt, Natalka czuła się zupełnie wyczerpana i z ulgą powitała koniec tej pańszczyzny towarzyskiej. Ale nie na długo. Zaczęło się znów oddawanie wizyt, nowa litania pytań, niedyskretnych, a krytycznych spojrzeń. Ale i to ustało. Z całej listy długiej i różnorodnej pozostało zaledwie kilka domów, z którymi Natalka postanowiła utrzymywać bliższe towarzyskie stosunki. Do tych domów należały dwie jej najbliższe sąsiadki: pani Lula Wermińska i pani Marysia Niekraszewiczowa. Pani Lula Wermińska, ongiś obywatelką z Ukrainy, cicha, spokojna, wiecznie zalękniona, żona urzędnika banku przychodziła często w rannych godzinach do Natalki na pogadankę. Wsuwała się najczęściej przez kuchnię, siadała na rogu kanapy i głosem jakby zalęknionym opowiadała jej o mężu, który stale grywał w karty w klubie.

— Żebym miała pewność, że on siedzi w klubie, ale czy ja wiem, gdzie on przebywa? — skarżyła się.

Była szalenie zazdrosna o męża i co prawda miała powody ku temu. Biuralistki w banku nie były zbyt skąpe w obdzielaniu sympatiami szefów, ani zbyt trudne do zdobycia, a on miał taką słabość do ładnych, wesołych, lekkomyślnych dziewczątek, szczególniej gdy miały ładne nóżki, i na różowo wymanicurowane paluszki u rąk (moda sandałków i malowania paznokci u nóg na czerwono nie była jeszcze w tym czasie znana w Wjunogrodzie).

Druga sąsiadka pani Marysia Niekraszewiczowa, mieszkająca naprzeciw, była przeciwieństwem pani Luli. Córka oficjalisty w dobrach ks. Radziwiłła, wyszła za inżyniera Niekraszewicza z wielkiej miłości. Mała, krępa brunetka, żywa jak iskra, wesoła, energiczna, nierobiąca sobie nic z niczego i nikogo, trzymała krótko męża, rosłego, tęgiego mężczyznę o spokojnej twarzy i ruchach ociężałych, powolnych.



Mały fotoamator...

Natalka lubiła bardzo towarzystwo tej wesołej, ruchliwej kobietki, która wpadała do niej co chwila z nowiną, ploteczką, lub poradą. Dzwoniła energicznie do drzwi frontowych, już od progu napełniała cały dom gwarem i śmiechem, siadała na fotelu, wyciągała wygodnie nogi przed siebie. Wiedziała od niej, że Juliusz z jej mężem grywa w karty i że czasami dużo przegrywa. Dawniej nie brał kart do rąk, chyba przymuszony...

Nie pytała się nigdy Juliusza, skąd wraca po nocy i nie czekała nigdy na jego powrót, nie interesowało ją to wcale. Mimo to zrobiło jej się lżej na sercu, gdy poznała powód jego tak częstej nieobecności w nocy.

Pani Marysia nie popłakiwała po kątach jak pani Lula, nie robiła swemu mężowi żadnych scen zazdrości, ale musiał stawić się zawsze na czas, lub zostać w domu, gdy tego zażądała. Pani Lula postępowała przeciwnie. Robiła mężowi od czasu do czasu sceny, zamartwiała się różnymi, często zgoła fałszywymi przypuszczeniami, i całe wieczory spędzała w domu bezczynnie na oczekiwaniu jego powrotu.

— — — — — —

Nadeszła pora dżdżysta, wietrzna, mglista. Ulice w miasteczku okryły się błotem, chodniki drewniane na bocznych ulicach uginały się na rozmiętej ziemi niczym pedały, wyrzucając spod nóg przechodnia strumienie cuchnącej, czarnej cieczy i obryzgując nią nogi przechodniów z podwórek popod bramami przeciekała brudna, zaśmiecona woda o odrażającej woni.

Wieczorem, słabo oświetlone ulice nadawały całemu miasteczku wygląd ponury i przygnębiający. Nawet rzeka, płynąca wzdłuż miasta, szeroka, rozlewna, wijąca się mnóstwem małych kanałów i kanalików, wrzynająca się głęboko i daleko w teren, ta rzeka o tafli niebieskiej, przezroczystej, z rojem mew, czyli „kryczek", unoszących się nad jej lustrzaną tonią, w te noce bezksiężycowe wyglądała jak nieruchoma, zmatowiała tafla szklana. Żydowskie kino i jedyna chrześcijańska cukiernia, ciasna i źle urządzona stanowiły jedyne miejsca rozrywkowe. Były tam podobno jakieś nocne spelunki, do których pod osłoną ciemności dążyli przyjezdni obywatele wiejscy ze swymi przygodnymi lub stałymi przyjaciółkami; nie gardzili nimi również i mieszczanie nie tylko bezżenni, ale i żonaci wymykali się do tych przybytków nocnych uciech, wyłgując się przed żonami zajęciami wieczorowymi, posiedzeniami, ale żony nie miały przystępu do tych lokali, chyba nie-

wierne, zdradzające swych mężów, wciskały się mocno zawoalowane i chowały w osobnych, szczelnie zamkniętych przegródkach. Ale tak odważnych było bardzo mało, które nie ulękłyby się wszędobylskiej, wszystkowiedzącej i widzącej pani plotce. Więc też i nuda rozpościerała się wszechwładnie nad całym Wjunogrodem. I Natalce udzielił się ten przygnębiający nastrój pogody i miasteczkowego życia. W domu, nawet w czasie największej słoty i niepogody był las. Można było, włożywszy kalosze i nieprzemakalny płaszcz zaszyć się w gęstwinę leśną i oddychać świeżością drzew i poić oczy szmaragdową zielenią, ale tu w tym małym miasteczku ogarniała ją melancholia, i jedyną rozrywką było towarzystwo tych dwóch tak różnych od siebie sąsiadek i czytanie książek, wypożyczanych w jedynej polskiej wypożyczalni. Ale jakie to były te książki! Trochę tłumaczeń, niepełny zbiór dzieł Żeromskiego, Sienkiewicza, Prusa, Rodziewiczówny, wszystkie powieści Łuczyńskiej, Staśka i Zarzyckiej. Tańsze dzieła Szczuckiej, zaledwie kilka Nałkowskiej i Kaden-Bandrowskiego. Na droższe żałowano pieniędzy.

*

Była to noc listopadowa ,chłodna, trochę wilgotna, ale księżycowa i jasna. Natalka w swej białej, dziewiczej sypialni kładła się spać, gdy ktoś gwałtownie zadzwonił. Zdziwiła się i zaniepokoiła, gdyż dochodziła już dwunasta. Nie budziła służącej, ale narzuciwszy szlafrok, poszła sama otworzyć.

Czyżby Juliusz zapomniał klucza? — przemknęło jej przez myśl, gdy przekręcała kontakt elektryczny. Nie, zbyt nieśmiała była ręka, która nacisnęła dzwonek.

Na jej trochę przestraszone „kto tam" — odpowiedział nieśmiały, drżący głos pani Luli Wermińskiej — „to ja — czy można?"

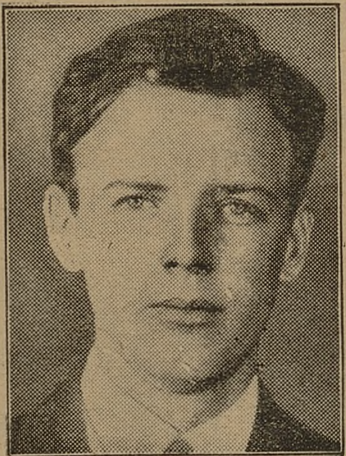
Odsunęła zasuwkę, odciągnęła zatrzask, szczerze zaniepokojona tak późną wizytą.

— Co ją sprowadza o tej porze?...

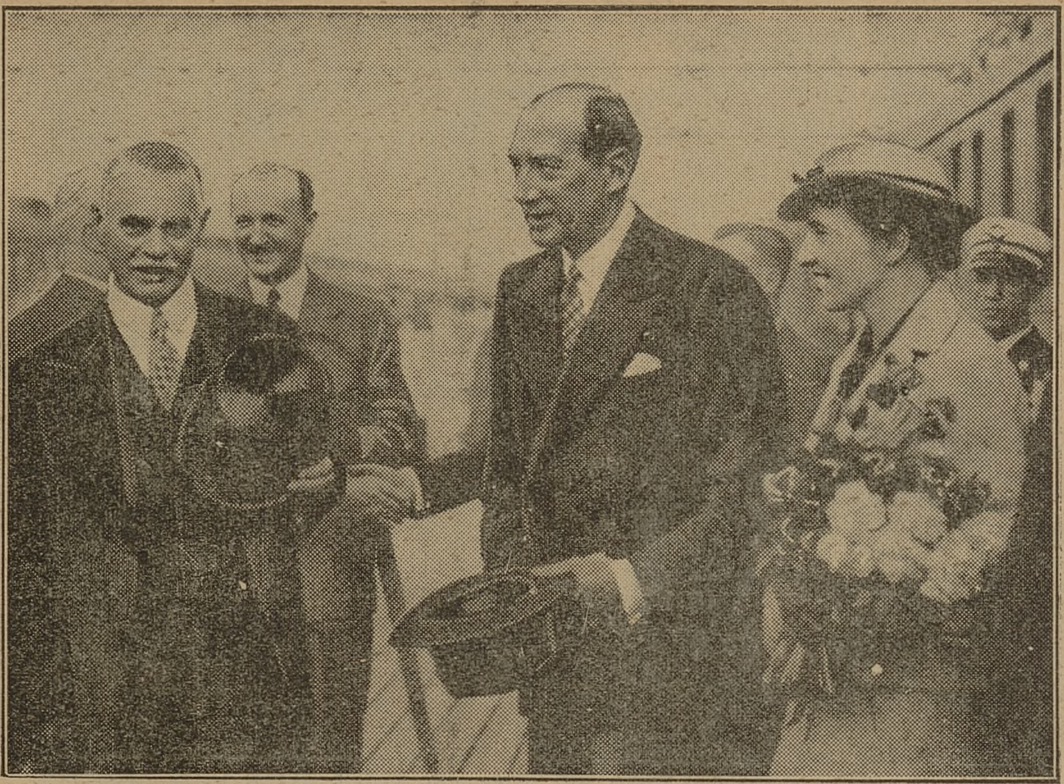
— Bardzo przepraszam panią — mówiła od progu pani Lula — ale widziałam światło w pani pokoju...

— Czy stało się co? — pytała Natalka, wprowadzając do saloniku przybyłą.

— Nic... tylko... — jąkała się z nieśmiałością pani Lula — ...chciałam panią prosić, żeby poszła ze mną do klubu. Widzi pani, muszę się dowiedzieć, czy mój Kostuś naprawdę gra w klubie. Mówiła mi Lubieniecka, ta co ma sklep spożywczy, że widziała go wczoraj spacerującego nad rzeką z Barańcówną ze starostwa.



Lindbergh, który swym wspaniałym przelotem Atlantyku zyskał sobie miano bohatera narodowego Ameryki, jest obecnie wymieniany jako jeden z nielicznych kandydatów na prezydenta Stanów Zjedn. Ameryki Północnej.



Min. spraw zagr. Józef Beck z małżonką był w stolicy Norwegii, Oslo, z wizytą oficjalną.

Gdy Natalka spojrzała na nią pytająco, nie mając pojęcia, co to za Barańcówna, objaśniła trochę niecierpliwie:

— No z tą ryżą urzędniczką ze starostwa.

Natalka nie była senna, więc zgodziła się iść z panią Lulą na tę nocną wycieczkę. Była młoda, zdrowa i tak znudzona.

Zarzuciła paltocik, wcisnęła na głowę berecik, zgasiła światło i wyszły.

Szły, potykając się na kocich łbach ulicy i nierównych płytach chodnika. Odgłos ich kroków rozległym echem rozchodził się po pustych, słabo oświetlonych ulicach. Doszły do odrapanej jednopiętrowej kamienicy, nad drzwiami której świeciła się latarnia i na szybach czernił się napis „Klub Polski". Zatrzymały się przy drzwiach niepewne, onieśmielone.

Przez chwilę nabierały odwagi — wejść, czy nie? — Stały, wpatrując się w napis niezdecydowane, gdy zza rogu ulicy wychynęła postać kobieca, owinięta w biały szal. Zastukały energicznie obcasy po asfalcie chodnika.

Natalka z panią Lulą cofnęły się odruchowo w cień za gzyms sąsiedniego domu. Postać kobieca coraz wyraźniej wyłaniała się z ciemności nocy, coraz jaśniej rysowała się jej sylwetka na tle prawie że nieoświetlonej ulicy.

Obu stojącym paniom zamarł dech na chwilę ze zdumienia; była to pani Marysia Niekraszewiczowa bez kapelusza i... z trzepaczką od kurzu w ręku.

Bez wahania śmiało, energicznie pchnęła drzwi wejściowe klubu i weszła do sieni. Za chwilę obcasy jej stukały energicznie po schodach.

Natalka i pani Lula z zaciekawieniem czekały dalszego ciągu. Niedługo dał na siebie czekać. Rozległ się trzask otwierających drzwi i po schodach zadudniało kilkanaście par nóg, zbiegających na dół z gorączkowym pospiechem.

Cofnęły się obydwie, przeszły na drugą stronę ulicy i nie czekając na wyjaśnienie zagadki, szybko podążyły w stronę domu.

— — — — — — — —

— Nie śpisz — zdziwił się pan Wermiński, gdy zastał żonę w jadalni nierozebraną jeszcze.

— Byłam u pani Natalki — wyjaśniła. — Ale co się stało, że tyś się tak wcześnie zjawił w domu? — pytała zaciekawiona.

— To wszystko przez tę narwaną panią Niekraszewiczową. Wpadła do klubu jak bomba i trzepaczką wyłupiła po plecach swego męża. Wyobraź sobie: trzepaczką! Gdybym ja miał taką żonę... rozwiódłbym się z nią zaraz w pierwszych miesiącach po ślubie.

Poklepał panią Lunię po plecach i pocałował w policzek, taki był rad, że to nie jego żona bierze się na podobne sposoby.

— — — — — — — —

Juliusz wsunął klucz w zamek, przeszedł cicho przedpokój i poszedł wprost do swe-

Na sofce czysta, elegancka bielizna pościelowa zachęcała do spoczynku, na stoliczku obok stała filiżanka herbaty, syfon wody sodowej i gazety.

Przemierzył parę razy gabinet, trąc brodę w zamyśleniu, a o parę pokoi dalej młoda żona zabierała się do snu z uśmiechem rozbawienia w jasnych oczach.

— — — — — — — —

Nazajutrz pani Marysia wpadła po swojemu do Natalki.

— Pani Natalko, idziemy dzisiaj na dancing do Michałowicza. Po wczorajszej awanturze mój stary jak do rany przyłóż. Zapowiedziałam mu, że mam ochotę być dziś na dancingu. Potulnie zgodził się towarzyszyć mi.

— Ale o co to poszło, pani Marysiu? — spytała Natalka.

— No, jakże, obiecał mi, że pójdziemy do kina i ja, jak głupia, czekałam do dziewiątej godziny, więc mnie złość wzięła i poszłam dać mu nauczkę, niech wie, że z żony durnia nie może robić.

— Nie gderał na panią, jak wrócił?

— Ale! — oburzyła się pani Marysia na takie przypuszczenie. — Po rękach mnie całował, przepraszając.



Struś padł ofiarą ruchu ulicznego w czasie, gdy przez ulice Berlina ciągnął wózek reklamowy.

— Dobrego pani ma męża — zauważyła Natalka w zamyśleniu. Przyszedł jej na myśl zmarły ojciec. — On był tak samo dobry i wyrozumiały...

— Dobrego... — prychnęła pani Marysia — a ja co? Nic nie jestem warta? Wziął mnie z domu młodą i ładną, jak kwiat róży. Użył na mojej krasie, nacieszył się nią, a teraz ja mam iść do kąta, nie liczyć się, o nie!..

— — — — — — — — —

Spotkali się w cukierni i usiedli razem przy stoliku: pani Marysia z mężem, państwo Wermińscy i Natalka z Juliuszem. Natalka nie tańczyła z powodu żałoby, ale Juliusz domagał się, by mu towarzyszyła od czasu do czasu: — Nie chcę się narażać na plotki i domysły — wyjaśnił jej. Zasiedli przy stoliku naprzeciw lustra, by lepiej obserwować wszystko, co się działo na sali.

Natalka pijąc wolnymi łykami herbatę rozglądała się po sali.

Pod zakurzoną, suchotniczą palmą przy dużym stoliku usiedli sądownicy. Przeważały między nimi twarze mongolsko-semickie — pięciu panów i trzy panie. Niedaleko nich w tej samej linii usadowiła się medycyna; środkowy stolik zajęło wojsko. Bliżej drzwi umieściły się wolne zawody: adwokaci, przemysłowcy, kupcy i obywatele. Naprzeciw drzwi rozsiadła się hałaśliwa, opasła finansjera żydowska, posługująca się dla szyku językiem rosyjskim w potocznej rozmowie. Jedni jedli kolację, inni herbatę z ciastkami, jeszcze inni tylko pół czarnej.

Orkiestra zagrała foxa. Od stolików odrywały się pary jedne za drugą, wypinając się i podrygując w takt muzyki.

W pierwszej parze tańczyła pani Abrahimowiczowa z aplikantem sądowym, szczupła, drobna szatynka o szarych zadumanych oczach.

Patrząc na jej poważny, uduchowiony wyraz twarzy, nikt by nie przypuszczał że ta córka weterynarza powiatowego dla kariery, dla stanowiska, dla dobrobytu zmieniła wiarę chrześcijańską na mahometańską i wyszła za mąż za bogatego obywatela, Tatara z pochodzenia, który dla niej rozwiódł się z młodziutką żoną Tatarką, z którą żył dwa lata. Rozpaczająca, niepocieszona umarła nagłą tajemniczą śmiercią w Wilnie, a nowa żona w chwale i glorii zdobywczyni, uczyniła wyznanie wiary w Mahometa i święty Koran jego. Przed mułłą przysięgła w meczecie na święte księgi Koranu posłuszeństwo i wierność oddanemu synowi Mahometa, Teodorowi Abrahim-Abrahimowiczowi.

Za nią posunęła się wysoka Żydówka w parze z niskim grubym właścicielem tartaku. I tu, przyglądając się korpulentnej figurze o szerokiej i długiej końskiej twarzy, grubych rysach, i ostrym nachalnym spojrzeniu czarnych oczu pani mecenasowej, nikt by nie przypuszczał, że dla tej ordynarnej, aroganckiej Żydówki o dużych rękach, rozłożystym ciele i grubych nogach jeden z poważniejszych, bogatszych miejscowych obywateli ziemskich stracił prawie połowę majątku, że własny duży dom i plac, w którym mieszkała starsza pani Sara z młodym panem Józefem, był kupiony za pieniądze owego obywatela, a auto, w którym rozpierała swe tłuste ciało, to prezent ślubny chrześcijańskiego kochanka.

Na salę wypłynęła śliczna wiotka blondyneczka z oficerem piechoty. Marzące niebieskie oczy utkwiła w przestrzeń, małe różowe usteczka uśmiechały się do sali niewinnie. To córka urzędnika, wyrzucona z gimnazjum za romans z sierżantem, którego owoc w skrytości i tajemnicy swego gabinetu usunął doktor. Sierżant ustąpił miejsca urzędnikowi pocztowemu, z którym całe lato chodziła na długie spacery poza miasto. W jesieni urzędnika zamieniła z oficerem, ten jako wyżej w hierarchii społecznej stojący, był w swych zapędach miłosnych ostrożniejszy i sprytniejszy. Za nimi z młodym i przystojnym sędzią sunęła pani Skomurska, tęga, niebrzydka brunetka o pospolitej urodzie i grubych nieładnych rękach. Pokojówka z zawodu, córka podmiejskiego wieśniaka i przekupki zza Żelaznej Bramy miała wygórowane ambicje i postanowiła wybić się towarzysko, zostać „panią". Karierę swą zaczęła od kochanki sublokatora tych państwa, u których służyła, a skończyła na stanowisku żony i obywatelki ziemskiej. Zastosowała wszystkie nawyczki i miny zaobserwowane u swoich chlebodawczyń, stroiła się, rujnując męża na perfumy i szlafroczki, ręcznie haftowane. Opowiadała wszystkim z kim się zetknęła, o przepychu w jakim się chowała, o pokrewieństwach z hrabiami, u których służyła. — Moja panna służąca nosiła jedwabne suknie i fartuszki obszyte prawdziwymi walansjenkami — opowiadała chętnym przysłuchiwania się tym bzdurstwom. Z czasem sama w to uwierzyła.

Otarła się o ich stolik wesoła, milutka urzędniczka ze starostwa. Błysnęła uśmiechem ku Natalce, na co ta odwzajemniła jej się przyjacielskim kiwnięciem głowy. Lubiła tę wesołą, cokolwiek starszą od niej dziewczynę, utrzymującą matkę i dwoje młodszego rodzeństwa ze swej pracy, zawsze w dobrym humorze i pełna odwagi życiowej i optymizmu. Ten, co z nią tańczył, asystował dziewczynie już od kilku miesięcy i Natalka szczerze życzyła jej, by skończyło się to małżeństwem.

We drzwiach stanęła pani Zenia z panią Karen Marszandtową. Zobaczywszy ją, siedzącą samotnie przy stoliku, skierowały się do niej. Natalka na widok tych pań zmarszczyła lekko brwi z niezadowolenia. O pani Zeni niedwuznacznie mówiono w związku z Juliuszem i to nie było jej zbyt miłe. Sprawdziło się na niej przysłowie: „Swój mi niemiły, ale mi go nie rusz".

Pani Karen Marszandtowej nie znosiła. Działała jej na nerwy ta podstarzała plotkarka, ucharakteryzowana na podlotka, o twarzy czerwonej, świecącej się, pomarszczonej, o włosach utlenionych na jasno blond. Płynęła co dzień od rana jak woda na miasto, zachodząc od domu do domu, żądna ustawicznie wrażeń, nie mogąca zapomnieć, że była kiedyś młodą i ładną. Dla niej stanął czas z chwilą wybuchu wojny i ruszył naprzód znów, gdy z piekła bolszewickiego przybyli do Polski.

Ach, jak cudownie spędzała czas w pierwszych latach wojny. Stał u nich sztab dywizji kawalerii. Rozlokował się we dworze, w oficynie, w czworakach. Po całych dniach brzęczały ostrogi, rozlegało się rżenie koni, tupot kopyt, migały wyprostowane zgrabne sylwetki oficerów. Te wieczory majowe, czerwcowe, lipcowe, sierpniowe, gdy muzyka grała „karabiejki" i romanse cygańskie, gdy w powietrzu rozchodziły się tony miłosnych pieśni, pełne tęsknoty i żaru młodej krwi, śpiewane przez poruczników i gdy gorące dłonie oficerów, pożądliwie szukały jej ciała poprzez lekką tkaninę muślinów i batystów, nie znajdując sprzeciwu, a nawet zachętę w bierności leniwej.

Tylu się ich przewinęło przez Dworzec, tylu odeszło, by więcej nie wrócić, a ciągle napływali nowi, którzy również mieli rozpalone dłonie i usta gorące, nabiegłe krwią młodą i śpiewali tak cudnie i tęsknie — „Oczy czornyje". A szczególniej jeden — zapamiętała sobie jego imię i nazwisko: — Andrzej Jermołajew. Wysoki i kształtny, miał oczy czarne, palące i taki był zachłanny. Pamiętała ten wieczór przez długie, długie dnie... Mąż, choć młody i przystojny, niedołęgą był w znaczeniu męskości, cierpiący ustawicznie na reumatyczne bóle głowy, zamknął się w gabinecie, a ona z Andrzejem usiadła na

schodkach werandy ogrodowej, na którą padało przyćmione światło z salonu.

Z ogrodu szedł upajający zapach rezedy, tytoniu i floksów, od strony oficyny rzewne tony ukraińskich dumek.

Przygarnął ją do siebie i nachylony nad jej twarzą, śpiewał cicho: „Nie uchodi pobud so mozzoju, ja tak dawno tebie lubliu".*)

Oparła głowę na ramieniu. Władczym ruchem podniósł ją ze stopni, okoliwszy ramieniem, i wiódł bezwolną w głąb ogrodu. Zaszyli się w gąszcz, upadli na miękki wilgotny od rosy trawnik. Wyjechał nazajutrz raniutko.

Tylu ich było — a ilu robiło z nią to samo, ale ten jeden jedyny epizod utkwił w jej pamięci, wrył się w mózg i żył zawsze w sercu, miły mimo lat tylu.

Tamci, byli.... odeszli... rozwiali się niczem dym w przestrzeni czasu — on jeden żył. Spotkała się z nim jeszcze raz. Zawezwał ją do Mohilowa. Przydzielony został do „Stawki carskiej".

Naprędce wymyśliła jakiś pretekst. Ból zębów, kłucie w płucach, czy coś podobnego i odjechała rannym pociągiem, odprowadzona na kolej przez czułego, troskliwego męża. Tych trzech dni Mohilowskiej idylli nigdy nie zapomni. One sprawiły, że czas dla niej stanął na długie lata.

Trzy dni upojeń, trzy noce szalonej rozkoszy. Ostatniego wieczoru w jego kwaterze pili szampana. Siedziała na jego kolanach, pili z jednego kieliszka — najpierw on, potem ona. Gdy złoty nektar wysączony został do dna, rzucał kieliszek z rozmachem na ziemię. Szkło z brzękiem biło się na miazgę o podłogę, a on napełniał świeży kielich winem — Niech niczyje wargi nie dotkną więcej szkła, z którego piły te przesłodkie usta — i znów kieliszek leciał na podłogę.

O świcie odprowadził ją do pociągu.

— Pierwszy raz miał ja taką kochankę jak ty — rzucił jej komplement na pożegnanie.

Nie odezwał się więcej ani przed ani po rewolucji, ale wspomnienie o nim szło za nią poprzez rewolucję, poprzez lata tułaczki, nie pozwoliło jej postarzeć się, stworzyło z niej typ patetyczny śmiesznej, podstarzałej małomiasteczkowej lwicy.

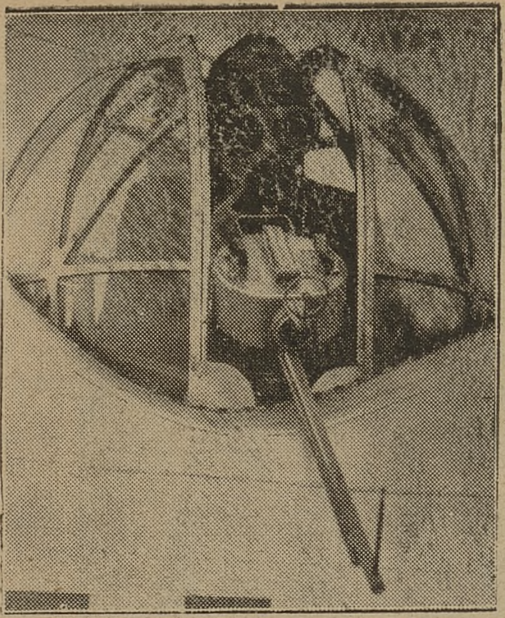
Ale Natalka nie znała jej przeszłości, nie wiedziała nic o natarczywych pieszczotach kawalerzystów i o epizodzie w Mohilewie. Patrzyła więc z pogardliwą pobłażliwością uroczej młodości na jej wdzięczenie się do Juliusza, który po tanecznej przerwie nie prosił żadnej z pań do tańca, ale pożądliwym wzrokiem gonił za ładną, jasnowłosą nauczycielką szkoły powszechnej, tańczącą z porucznikiem.

Zirytowała się pani Karen, że jej słodkozalotne miny nie robią na Juliuszu żadnego wrażenia i że nie są w stanie oderwać jego uwagi od ładnych nóżek złotowłosej nauczycielki, zwróciła się do Natalki ze źle ukrywaną zjadliwością:

— Niech pani nie pozwala mężowi tak zjadać wprost wzrokiem pannę Wicusię. Z niej znana kokietka!

Natalka oderwała wzrok od tańczących i spojrzała z pewnym zdziwieniem na panią Karen, która w rzeczywistości nosiła pospolite imię Katarzyna, ale utrzymywała, że nie pasowało ono do jej osoby, więc zamieniła je na bardziej poetyczne „Karen".

*) Nie odchodź, pozostań ze mną, ja ciebie tak kocham...



Strzelec pokładowy olbrzymiego angielskiego samolotu bombardującego w czasie akcji.

Wzruszyła ramionami.

— Jeśli mu się podoba...

Minęła ich stolik pani Zena z panem Stachowskim, rzucając złośliwe spojrzenie na panią Karen.

Spojrzenie to przejęła Natalka i śmiech domyślności wypełzł jej na wargi.

— Juliuszu — zwróciła się do męża — pani Karen chce tańczyć.

Drgnęły mu brwi niechęcią, ale wstał z krzesła, bo rozpromieniona pani Marszantowa obciągnęła na biodrach suknię i ruchem ramion podanych naprzód zachęcała go do pośpiechu.

Stolik opustoszał. Odfrunęła poprzednio pani Lula z panem Niekraszewiczem, pani Marysia z panem Werwińskim. Została tylko Natalka.

Jakby na to czekał sędzia Brucko-Stempkowski. Wstał od stolika, przy którym kilku panów raczyło się koniakiem i elastycznym, giętkim krokiem zbliżył się do niej. Powitała go uprzejmie. Była mu rada. Wnosił on bowiem pewne urozmaicenie w bytności tutaj.

Młody był jeszcze zupełnie i na palcu lewej ręki nosił sygnet z herbem rodowym Suche kommaty. Obyty, dobrze ułożony, elegancki uchodził za pogromcę serc niewieścich. Miał za sobą awanturki miłosne mniej lub więcej głośne, które w oczach pięknych Wjunogrodzianek dodawały mu uroku i zaprawiały flirt z nim dużą dozą pikanterii.

— Pani nie tańczy?

Potrząsnęła głową.

— Jak pan widzi.

Uniósł się z krzesła.

— Służę pani...

— Dziękuję, ale nie tańczę, gdyż jestem w żałobie.

Skłonił głowę.

— Przepraszam.

Oboje pogonili wzrokiem za tańczącymi. Otarła się o nich najbliżej tańcząca para. Ona szczupła, sztucznie wychudzona, o rysach regularnych, mocno wymalowana, wyzywająco patrząca spod małego kapelusika — on mały, chuderlawy z wydatnym nosem i zmiętą twarzą.

— Jak się pani podoba pani Konoplicka — zagadnął Natalkę, gdy para ta przesunęła się na drugi koniec sali.

— Nie cierpię jej — wyrwało się Natalce.

Podniósł brwi do góry.

— Aż tak? Czyżby próbowała swego uroku i na Juliuszu — zagadnął żartobliwie.

Żachnęła się.

— Nie znoszę tego bezwstydnego typu kobiet, które bez żenady pokazują się w towarzystwie kochanków w miejscowości, gdzie odbył się cały skandal, gdzie mieszka z dzieckiem porzucony mąż.

— Oho, hipokryzja przede wszystkim — ironizował. — Wolałaby pani, żeby po nocy, pod osłoną ciemności skradał się do mieszkania narzeczonej po pieszczoty.

— Wolałabym — odpowiedziała twardo, bo miałabym wtenczas pewne wytłumaczenie, usprawiedliwienie. Obłęd miłosny... szał, który ją porwał. Nie miała sił bronić się, zmóc w sobie to uczucie, za słabą była, ale czuła, że źle robi, jej lepsza część natury wstydziła się sama przed sobą i przed ludźmi. Miałabym złudzenie, że może w duszy w chwilach samotności robiła sobie wyrzuty. Ale żeby tak na zimno, cynicznie, bez cienia zażenowania obnosić przed ludźmi ten swój romans, poczęty w mężowskiej łożnicy, w obecności dziecka, a w dodatku rzucić to dziecko dwuletnie obcym na poniewierkę. Przecież takie płatne sługi mogą je bić, popychać, zaniedbywać podczas nieobecności ojca, znęcać się nad nim, a ono nawet bronić się nie będzie w stanie, ani skutecznie poskarżyć się ojcu. Zła, bezwstydna kobieta, zła żona, zła matka. Taka zdolna do wszystkiego...

— Za młoda pani, żeby tak bezwzględnie potępiać — stanął w obronie pani Kaplickiej, z którą, jak złe i niedyskretne języki szeptały na ucho ciekawym, łączyły go pewne wspomnienia.

— Gdybym miała dziecko, nigdy bym go nie zostawiła nikomu i gdy chodzi o dziecko, to nie ma dla matki żadnych okoliczności łagodzących, żadnego wytłumaczenia.

Zawstydziła się swego wybuchu.

— Przepraszam pana za swoją porywczość, w szkole nieraz ganiono mi to nieopanowanie.

Schylił się nad nią, bo gwar panujący tłumił głos.

— Wygląda pani tak ślicznie, że gotów jestem za każdym naszym spotkaniem wywołać dyskusję.

Nie obraziła się na niego.

— Pochlebca z pana...

Muzyka urwała się — tancerze wracali na swoje miejsca. Pan Stempkowski nie usunął się, pozostał z nimi, przysunąwszy sobie krzesełko od sąsiedniego stolika. Pani Karen, rozpromieniona tańcem, rzuciła się na niego, jak pająk na muchę. Zalała go szeregiem dwuznacznikÓw ,spowiła w mgłę powłóczystych spojrzeń.

Pani Zenia otwarcie kokietowała pana Wermińskiego ku utrapieniu jego żony, pan Niekraszewicz ziewał, zasłaniając usta dłonią, pani Marysia porozumiewała się wzrokiem z młodym doktorem, siedzącym naprzeciw.

Gdy orkiestra zagrała „Maszę" Juliusz czym prędzej zaprosił panią Zenię.

Stolik opustoszał znów, został tylko Natalka i pani Karen, gdyż sędzia Brucki ulotnił się, odstraszony natarczywością pani Karen, i z daleka przyglądał się Natalce, która śliczna, wytworna, purytańsko



Do Pragi przybył lord Runciman, ażeby u łagodzić zaognioną sytuację Czechosłowacji.

skromna w swej czarnej sukience, zielonymi jak toń morska oczami patrzyła chłodno spod długich czarnych rzęs.

— Nie długo zarazisz się i ty tą naszą atmosferą — pomyślał jakby z żalem, że i ona może z czasem flirtować po kątach, szukać trywialnych przygód jedynie z nudów monotonii życia małomiasteczkowego.

Pani Karen rozżalonym wzrokiem powiodła po siedzących przy stolikach mężczyznach, po tańczących parach i dłużej zatrzymała wzrok na Juliuszu i pani Zeni i błysk niezdrowego podniecenia zamigotał w jej wyblakłych, bezmyślnych oczach. Nachyliła się ku Natalce i szeptała:

— Ta pani Zena to ziółko... Ona podobno romansowała i z mężem pani...

Natalka skrzywiła usta grymasem niesmaku. — Co ją to obchodzi... — głośno zaś powiedziała z miną poważną:

— Ma gust Juliusz, przystojna i szykowna z niej kobieta.

Pani Karen umilkła urażona, ale ożywiła się momentalnie, gdy ujrzała wchodzącą parę. On niski, łysawy blondyn, ona szatynka, o naturalnych, wijących się nad czołem włosach i figlarnych dołkach na okrągłej buzi. Z oczami błyszczącymi ożywieniem pani Karen szeptała gorączkowo.

— Widzi pani tę parę, co weszła? To żona urzędnika banku. Mają dwoje dzieci, ale ona puszcza się z panem Horeglad-Wyłaskim, tym ze Strykowicz. On choć mały, ma dużo pieniędzy i obszerne serce, ona urodę i duże wymagania, a mąż małe dochody.

— A cóż na to mąż? — zainteresowała się Natalka.

— Mąż?... Pilnuje dzieci, niańczy je i kocha żonę.

Urwała się muzyka i stolik obsiadło towarzystwo. Zaczęły się szepty, półśmieszki, dyskretne spojrzenia.

— Widzi pani, znów z nim... Ta suknia na pewno od Hersego. W zeszłym tygodniu była w Warszawie i bawiła przeszło tydzień, wiadomo, że mąż jej na podróż nie dał.

Natalka dosyć miała tych bezmyślnych, płytkich plotek i ploteczek, spojrzała na zegarek. Dochodziła druga.

— Idźmy już — zwróciła się do Juliusza.

Podniósł się z miejsca od razu, acz trochę niechętnie.

Przy drzwiach zamieniła ukłon z profesorową Sulakową.

— Musi do niej zajść jutro — przypomniała sobie. Profesorowa była ruchliwą działaczką na polu społecznym, była prezeską Komitetu pomocy dla bezrobotnych, należała do Koła Gospodyń Wiejskich, do Obywatelskiej Pracy Kobiet, biorąc czynny udział w pracy nad rozwojem tych towarzystw, których organizatorką i duchem ożywczym była starościna. Siedziała z panną Basią Sękówną, nauczycielką szkoły powszechnej, smukłą czarnooką Ukrainką z jarów naddniestrzańskich.

— Śliczna panna — zauważył Juliusz, rzuciwszy na nią spojrzenie znawcy wdzięków kobiecych.

— Śliczna — powtórzyła jak echo, ale bez entuzjazmu, pomimo, że dotąd sama zachwycała się jej urodą i zachowaniem.

Po ich wyjściu, towarzystwo zebrane przy stoliku, zaczęło nicować Natalkę. Pierwsza dała hasło pani Karen.

— Czego on się z nią żenił — dziwowała się szczerze.

— A czego żenią się mężczyźni w ogóle — odpowiedziała pani Zenia, otrząsając popiół z papierosa.

— Mnie mówiła moja służąca, a jej znów opowiadała ich Leokadia, że podobno śpią osobno i on nigdy nie zachodzi do jej sypialni — zaszeptała pani Lula, oglądając się dokoła wstydliwie, czy jej kto nie słyszy przy sąsiednich stolikach.

— Naprawdę? — zaciekawiła się pani Zenia. — To niemożliwe! Przecież dla niej zerwał z Hanią Deszerówną. To coś bardzo niejasnego i tajemniczego.

Pani Karen z ciekawości oczy wychodziły prawie z orbit. Ona musi dociec sedna sprawy. Musi!

Kelner przeszedł koło nich, niosąc butelkę szampana w wiaderku posrebrzanym. Sześć par oczu śledziło jego kroki.

— Dla kogo on to niesie?

Zaparło im dech z podniecenia. Kelner postawił butelkę przed panem Hareglądem i uroczą panią Jolą Kauzikową.

— Szampana jej postawił! Prawdziwego szampana francuskiego, nie krajowego. Gdyby to widziała Wiera Mikołajewna. Masława!

— Będziecie państwo u nich jutro? — pytała pani Karen państwa Niekraszewiczów i Werwińskich.

— Będziemy, musimy, nie można ubliżać ludziom, którzy nam się mogą przydać.

— A pani — zwróciła się pani Marysia do pani Zeni, która przycichła, posmutniała, pogrążona w zadumie paliła papierosa.

— Szampana jej postawił... — myślała z zazdrością. Boże, jakie szczęście mają niektóre kobiety. Takie „byle co" szampana dostaje, płacą zań rachunki u Hersego, kupują futra, butony... Kochanką tego starego Bracławskiego była, niby sekretarką. Przywiózł ją sobie z Charkowa. Sprzykrzyła mu się, wyswatał ją głupiemu Kauzikowi, ani grosza złamanego nie dawszy mu „za wianuszek". Jeszcze się chwalił, że wprost z jego łóżka i objęć poszła do ślubu, podarowawszy mu na pożegnanie noc przedślubną. A ona, Zenia, którą... młodziutką wydano za mąż za tego pijaka Krogulęckiego, co to do poduszki upijał się co noc, by potem... ech, lepiej sobie tego nie przypominać. Nie mogła tego znosić i uciekła do rodziców. I co ma z tego? Przygodne wrażenia i nudę, ale jaką nudę!... gdy taka...

Ocknęła się.

— Ja, owszem, pani wie, że gdzie karty, tam i ja...

— Ciekawa jestem czy Hareglad będzie — zastanawiała się pani Karen.

— I ja również... i ja... — odezwały się wszystkie panie po kolei.

— Ot babska ciekawość — zaśmiali się mężczyźni.

— — — — —

Natalka wybrała się do pani Sulakowej. Głowa ją bolała, smutek owionął jej duszę i ciężko legł na sercu. Czuła się źle w niezgodzie ze sobą i całym światem. Dopiero, znalazłszy się w jasnym przytulnym saloniku profesorowej, ulżyło jej i jakby ten kamień smutku, przygniatający jej młode serduszko, spadł z niego tuż przed progiem.

Profesorowa przywitała ją serdecznie, ucieszona szczerze jej przybyciem.

— Ach, jak to dobrze, że panią widzę. Miałam nawet pisać do niej. Urządzamy gwiazdkę dla bezrobotnych ,mamy moc pracy, gdyż uruchomiliśmy szwalnię. Najęliśmy dwie szwaczki, ale potrzeba nam pań, które by kroiły podług form ubranka dla dzieci, odmierzały materiał na ubrania dla dorosłych. Musi i pani wziąć w tej pracy udział. Część pań dyżuruje w kuchni przy rozdawaniu obiadów bezrobotnym, druga część zbiera po ludziach używaną odzież i bieliznę dla biednych, ale to wszystko mało, potrzeba nam coraz to więcej rąk do pracy.

Natalka zgodziła się z chęcią.

Z całą przyjemnością pomoże. Namówi nawet panią Lulę, która na pewno przyłączy się do nich.

— Jaka pani miła — ucieszyła się pani Sulakowa. — Zaczniemy więc od jutra. Zbieramy się w lokalu kuchni przy szpitalu sejmikowym.

Chciała odejść, ale profesorowa zatrzymała ją.

— Niech pani posiedzi ze mną jeszcze chwilkę. Tak rzadko panią widuję u siebie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

ROBERT GOFFIN

KAROLINA

CESARZOWA MEKSYKU

EPOPEJA HABSBURGÓW

Z UPOWAŻNIENIA AUTORA PRZEŁOŻYŁA
IRENA MACIEJEWSKA

W parku Laekeńskim, nad którym snują się smugi jesiennej mgły, stoi nad brzegiem stawu młoda dziewczyna, marząc o pięknych królestwach. Świat dzieli się na olbrzymie kolorowe mapy, a każda z barwnych plam jest okrojona na miarę swego suwerena. Jedni potentaci wstrząsają swymi państwami gestem absolutnej władzy, inni tworzą wielkie królestwa, łączą kraje, jednoczą prowincje. Ach, zostać jedną z tych królowych, o których wielkości mówi historia; złączyć w sobie dwie dynastie, by silnym nurtem wyżłobić nową potęgę; wstąpić na złocisty tron, przed którym chylą głowy pretendenci do ręki; mieć wszystkie skarby Golkondy, podbić wszystkie serca potęgą urody!

I oto stoi ta, której dzieciństwo wypełnione było śmiałymi marzeniami, tak piękna, jak najpiękniejsza cesarzowa Elżbieta. Tam w dali, za oceanem są przejrzałe państewka, których suwereni chylą się do upadku. Są szalone rozhisteryzowane stolice, gdzie policja daje salwy do rewolucjonistów, są porty, z których wypływa na ocean, jak krew z otwartej rany, całe bogactwo starego świata, a po wielu, wielu tygodniach podróży na wodach szarych, błękitnych, zielonych, spokojnych lub wzburzonych, jest Meksyk, cesarstwo Karoliny, córki króla Belgów, która ma 22 lata, płomienne serce i gorące dłonie, sięgające po gwiazdy na niebie; i jest wreszcie tylko Karolina wsparta o pień zielonego drzewa, budząca się ze snów i marzeń.

Nad nią rozpościera się niebo koloru błękitnych oczu kobiet z obrazów Rubensa. Meksyk, wyśniona stolica, otwiera się w dolinie w bladym blasku porannego słońca, jak muszla ostrygi. Ośnieżone szczyty gór, wieniejące na horyzoncie, okalają zieloną płaszczyznę, na której rozkwitają czerwone chaty Indian. Czyste powietrze wpływa do płuc, nieprzyzwyczajonych do pracy na wysokości 2.200 metrów. Tam, na południu, lśniące zielonym blaskiem jeziora Xochimilco i Chalco, po drugiej stronie — srebrzysta smuga jeziora Tezenco, nad które w 1325 roku nadciągnęli Aztekowie ze swymi królami, przybranymi w płaszcze z piór i wznieśli miasto Tenochtitlan, meksykańską Wenecję, o ulicach z lagun, usianych łódkami. Stolica Meksyku została również wybudowana w środku słonego jeziora na ostrokole z cementowanymi groblami. Kilka drewnianych mostów zwisało nad cicho drzemiącą wodą. Melancholijny plac targowy, wypełniony najróżnorodniejszymi produktami, otaczały portyki, pod nimi sprzedawano drogocenne towary; na progach domostw golarze o szmaragdowych oczach golili brody wojowników brzytwami z obsydianu. W środku placu wznosił się pałac „Audiencia", gdzie urzędowało bezustannie dziesięciu sędziów, wymierzających sprawiedliwość. Obok znajdowała się wielka świątynia i pałac Montezumy. Wzdłuż dróg, prowadzących w góry, leżały ołowiane rury kanalizacyjne, doprowadzające z lodowców wodę do picia.

W cztery lata po zwycięstwie Corteza, miasto zostało zburzone i odbudowane na nowo według obecnego planu. Hiszpanie wycięli drzewa, zwalili posągi bożków, spalili indyjskie manuskrypty i wspaniałą cywilizację indyjską zastąpiły trzy wieki, nędzy, niewolnictwa i łupiestwa.

Karolina duma nad tymi smutnymi dziejami; jej tkliwe serce kobiece, burząc się przeciw Hiszpanom i wyzyskowi kleru, bije gorąco dla biednych i nieszczęśliwych, dla smutnych i umęczonych Indian. Nie! Władza absolutna oparta na okrucieństwie i terrorze jest niedopuszczalna. Trzeba wykorzenić panoszącą się w tym uroczym kraju niesprawiedliwość. Umysł młodziutkiej cesarzowej roztrząsa te doniosłe zagadnienia, podczas gdy oczy, błądząc w dali odnajdują wieżę katedry o stożkowatych kopułach, gdzie Karolina parę dni temu stała w długiej kontemplacji przed Matką Boską Murilla. A dalej za placem Giełdy, olbrzymi szkielet klasztornej posiadłości Santo Domingo, której książęcy przepych datuje się od czasów inkwizycji, ogarniający obszar 50.000 metrów, podzielony na bogate klasztory i prześliczne ogrody. Tam znowu wznoszą się portale Mercaderesa, a na prawo biegnie zachwycająca aleja Alamedy z szemrzącymi fontannami pośród barwnych kwietników, ciągnących się aż do wysmukłych topoli promenady Bucarelli.

Błogosławiona ziemia, na której zatrzymali się w swej wędrówce Aztekowie, ujrzawszy, jak głosi legenda, orła porywającego węża. A orzeł ten, przy odrobinie dobrej woli, może przecież równie dobrze stać się orłem Habsburgów.

Europejczykom od tego świata, w którym wszystko dlitwę. Od paru dni atmosfera kościołów jest przesiąknięta niepokojem, czy Maksymilian zwróci władzom kościelnym nieprzeliczone dobra skonfiskowane przez Juareza? Karolina w głębi ducha pochwala postępowanie Juareza i wie dobrze, jak trudne i skomplikowane będą negocjacje z Rzymem.

W powrotnej drodze Karolina myśli o swym mężu, który udał się do północnych prowincji. Dziesięć godzin dziennie na koniu, pustynie spalone słońcem, drogi zasypane rozżarzonymi kamieniami, nieliczne wioski, drżące na wspomnienie Juareza, grożącego karą śmierci każdemu stronnikowi Maksymiliana; brzuchaci mnisi, oczekujący od cesarza zwrotu dziesięcin i danin. We wrześniu Maksymilian przybył do Dolores, skąd w 1810 r. rozległo się pierwsze wołanie Hidalga o niepodległość, następnie przyjazd do Leon, gdzie rozentuzjazmowana ludność klęka na ulicach i dla wyrażenia swej radości urządza zabawy, w czasie których jasnowłosy Habsburg podziwia urodę pięknych dziewcząt meksykańskich; wreszcie pobyt w Morelii, mieście kipiącym życiem, rozbrzmiewającym dźwiękiem ostróg dorodnych młodzieńców w skórzanych spodniach.

Dojeżdżając do centrum stolicy, Karolina każe skręcić w najuboższe dzielnice. Na widok okropnych, na pół nagich żebraków o twarzach napiętnowanych głodem, cesarzowa opuszcza oczy. Czyż to możliwe, aby Indianie mogli być doprowadzeni nieludzkim traktowaniem aż do takiego samoza-
Kołyszą się dzwony, zwołujące klasztory na mo-
wieczny, tajemniczy ogień?

W czasie nieobecności Maksymiliana, Karolina odwiedziła kilkakrotnie czarodziejski pałac w Chapultepec. W końcu października cesarzowa wraz z całą swą świtą wyjechała na spotkanie męża do małej wioski Tolusa, gdzie małżonkowie zostali oczarowani objawami wiernopoddańczych uczuć ludności. Doprawdy, gdyby nie raporty generała Bazaine i artykuły „Estafetty", opisujące akcję powstańców, można by przypuszczać, iż Juarez jest tylko indyjskim mitem jak bóg Quetzacoatl, jak skrzydlaty wąż! Cały dwór z uczuciem radości i zadowolenia podziwia przywiązanie ludu. Piękne amazonki urządzają ku czci monarchów malowniczą defiladę, galopując w szalonym pędzie z czerwonym kwiatem w ustach. Po zwiedzeniu zachwycających okolic Toluca, orszak cesarski opuszcza miasteczko wśród ogłuszających wybuchów petard i udaje się poprzez mroczne dziewicze lasy do wulkanu Nevada. W południe zatrzymuje się na płaskowyżu w pobliżu ośnieżonego pola, przylegającego do pokrytych lodem stawów.

30 października, cesarz i Karolina odbywają tryumfalny wjazd do stolicy, odświętnie przybranej, jak w dniu ich przybycia z Europy. Na ukwieconych balkonach domów przy ulicy Paseo, Plateros, San Francisco i del Espiritu Santo, głośnymi okrzykami wita powracających monarchów arystokracja. A wszystko dookoła jest takie piękne: fontanna Salto del Auga o powyginanych kapitelach, pałac Monnaies'ów, ratusz, szkoła górnicza! Maksymilian trzyma w swych dłoniach ręce Karoliny, a dusze ich łączą się w upojeniu.

Wielki pałac, o smutnych, zimnych salach nie zachęca do długiego zamieszkania. Nie pozostaną tu długo. Trzeba odbyć kilka oficjalnych przyjęć, a potem prędko, jak najprędzej do Chapultepec.

Chapultepec, letnia rezydencja wszechmocnych władców w kraju Anahuac była przed wiekami piękną willą wypoczynkową pośród ogromnego parku, przylegającego do porfirowej skały. Wzdłuż alei stuletnich drzew stały posągi bożków indyjskich, w głębi lśnił turkusowy staw. Cortez ogarnięty barbarzyńską żądzą niszczenia kultury indyjskiej zrównał wszystko z ziemią. Oszczędził tylko kilka odwiecznych cyprysów. Jeden z wicekrólów hiszpańskich odbudował pałac, ozdabiając go rozległymi tarasami, pięknymi kastyliańskimi salami, z freskami naturalnej wielkości, wiszącymi ogrodami i otoczył go krętymi fosami.

Maksymilian i Karolina lubią nadzwyczaj tę rezydencję, położoną wśród najpiękniejszego w świecie krajobrazu. Z pałacowego tarasu otwiera się zachwycająca panorama: góry pokryte zielonymi lasami, pola kaktusowe, dymy wulkanów, bijące w niebo, jeziora haftowane białymi nenufarami, pływające wyspy jak wielkie bukiety kwiatów, akwedukty porosłe mchami, skaliste zbocza o metalicznym połysku i wreszcie w głębi parku tysiącletnie cyprysy o żałobnych liściach.

Tam błąka się nocami cień Montezumy, wsłuchany w zawodzenia duchów Indian, opłakujących upadek swej rasy; tam kadeci meksykańscy zginęli do ostatniego w walce z Ameryką o niepodległość Meksyku; tam dyktator Santa Anna odbywał swe wieczorne przechadzki, żując cygara o cierpkim smaku; tam Maksymilian będzie rozmyślał o tych, którzy go poprzedzili i o ich straszliwym losie. Jedyny przed nim cesarz Iturbid — rozstrzelany, inni władcy — zabici, zamordowani, powieszeni, skazani na wygnanie lub ratujący się ucieczką. O Boże, jak dziwnym krajem jest Meksyk! Jak chłodny jest cień pod cyprysami, gdy mrok zapada i słychać z dala melancholijne dźwięki pasterskich fujarek, wygrywających melodie znane jeszcze przed nadejściem Corteza.

Maksymilian i Karolina, siedząc o zachodzie słońca na tarasie, okolonym wonnymi kwiatami, rozmawiają o troskach i trudach panowania, lub czytają pisma, przynoszące wiadomości z Europy z paromiesięcznym opóźnieniem. Zbliża się Nowy Rok. Sezon deszczów już przeszedł, od gór ciągnie rzeźki powiew krystalicznie czystego powietrza. Pola kukurydzy i fioletowej tykwy mienią się barwną szachownicą. Wędrowne ptaki przelatują ku lasom. W nędznych lepiankach bez okien, indyjskie matki opowiadają swym dzieciom bajki o legendarnym wężu z piórami, o sławnej świątyni Montezumy, o 600 ołtarzach wzniesionych przez tego wielkiego przodka.

„Jeśli będziesz niegrzeczny, maleńki, przyjdzie po ciebie wielki kapłan, wiesz, ten co zabierał matkom dzieci i zamykał je w trzcinowych klatkach, tucząc je na ofiarę w dniu święta Słońca. Jeśli będziesz niegrzeczny, wyrwie ci serce z piersi i pożre na surowo, tak jak za czasów naszych przodków"...

Kto może wiedzieć naprawdę, jaką była właściwie inteligencja tych przodków o kruczych włosach, którzy ułożyli w przedchrześcijańskich czasach 370-letni kalendarz, zamknęli komety w kabalistycznych równaniach i wymyślili zero na długo przed uczonymi starego świata.

Pocóż konkwistadorzy spustoszyli wszystko w imię Chrystusa, poco szalony biskup Zumarraga spalił na autodafe wszystkie manuskrypty pisane hieroglifami, poco ojciec Landa, ten brodaty Hiszpan zniszczył wszystkie biblioteki Yucatanu?

...„Spij, mój maleńki, bo gdy będziesz niegrzeczny przyjedzie po ciebie Juarez i zabierze cię na swego białego konia"...

Wkrótce nadejdzie styczeń, po raz pierwszy spędzany w Anahuac; już pachną fiołki, przypominające Niceę i wiosnę na wyspie Lacroma! Ciepły zapach tropików, przedziwna mieszanina nieznanych zapachów snuje się o zmroku wokół tarasu, na którym marzą suwereni Meksyku. O słodyczy panowania! O tajemnicza potęgo losu, dzięki której potomek znakomitego Rudolfa Habsburga, wbrew wszystkim knowaniom Wiednia, realizuje dewizę swej dynastii: „Austriae Est Imperare Orbi Universo!"

Ach, jakże wszyscy muszą im zazdrościć tam w Schoenbrunnie, w Laxenburgu, w Mayerlingu! Blade arcyksiężniczki, drżące w bogatych futrach, zziębnięci arystokraci, polujący w oszroniałych lasach; małe hrabianki ze sztucznymi kwiatami we włosach, wzruszone pierwszym balem dworskim, piękna Elżbieta, galopująca na rasowych koniach i nawet mały Rudolf, którego budzi się co dzień o piątej rano, by patrzył na zmianę warty przed pałacem.

A po drugiej stronie Tyrolu, w Bawarii, w romantycznym kraju jezior, nowy król, o którym tak dużo się mówi, o którym wzburzone kobiety szepcą, iż ponad miłość przekłada nienormalną przyjaźń z lichym muzykiem o nazwisku Wagner.

A jeszcze dalej, w Niemczech, ten niezwykły człowiek, o którym mówi się wszędzie, iż zreorganizował Prusy i rządzi Hohenzollernami.

A kuzyn, następca tronu saskiego, spędza teraz na pewno czas w pałacu Mauritzburg, wśród smutnej okolicy pokrytej śniegiem i lodem, odbywając melancholijne przejażdżki cicho sunącymi sankami.

Wszyscy królowie i monarchowie Europy zazdroszczą z pewnością Habsburgom ich cudownego losu. Maksymilian i Karolina myślą z pogardą o przepychu dworu francuskiego. Cóż znaczą Pola Elizejskie, Tuilerie i Fontainebleau wobec bezchmurnego błękitu nieba, wobec bogactwa tropikalnej flory. Jakież to szczęście móc być twórcą wspaniałego cesarstwa na ziemiach Nowego Świata, móc zakorzenić za Oceanem suwerenność Europy, być pierwszym, który się odważył na ten śmiały krok, ufny w poparcie wszystkich książąt Europy, solidaryzujących się w imię prastarego świętego przymierza wszystkich dynastii.

Zdarzają się co prawda czasem przykrości z powodu złej organizacji wojska, bywają też troski o skarb państwa i sprawy religijne, nad którymi cesarz musi się nieraz głęboko zastanawiać, lecz wszystko to są drobnostki, jakie czas z pewnością zgładzi i umocni ten chwiejny tron, na którym nikt długo nie siedział przed Maksymilianem. A zresztą nie trzeba o tym wspominać, by wzbudzić zazdrość w Europie, by ci wszyscy, co nie popierali idei cesarstwa meksykańskiego odczuli pewien żal.

Cesarzowa Karolina w końcu października pisała do swych przyjaciół: „Chapultepec piękniejе z dnia na dzień pod umiejętną ręką Maksa. Deszcze już całkowicie ustały, mamy teraz jak gdyby początek lata o wspaniałej pogodzie lipcowej. Klimat tutejszy przypomina klimat Włoch, z tą jednak różnicą, iż takie dni, jakie we Włoszech uchodzą za wyjątkowo piękne, trwają tu teraz niezmiennie..."

Jednak w liście z dnia 26 stycznia 1865 Karolina oświadczyła cesarzowej Eugenii: „Nie brak nam e-

Ciąg dalszy na str. 673.

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu



BOŻKI MEGO DZIECIŃSTWA

Na tle dogasającej żółtej zorzy zachodu —
na wzgórzu —
widzę rzędem stojące czarne postacie;
idą zda się z oddali
i cofają się.
Chwieją smutno głowami
i nieruchomieją.
Patrzę urzeczona.
Coś mówią milczeniem.
Pytają: pamiętasz?
Mówią: zapomnij!
Dreszcz wzruszenia wstrząsa ciałem,
szarpie się w głuchym płaczu serce,
boleje i rozpada się w męce dusza.
Stoją widne pod łuną zachodu.
Radzą....
Idą znowu ku mnie.
Czy idziecie od tych, których opłakuję?
Od matki? brata? od drużek dzieciństwa?
Od siostry zabłąkanej na dalekich
gościńcach świata, które do domu nie prowadzą?
Wieje od was wonią niepowrotnej młodości
i tęsknotą po minionej wiośnie.
Wyciągacie ku mnie ramiona:
Czy chcecie podnieść me serce i obmyć
z ran i kurzu życia?
Odeszły, cofnęły się w milczeniu.
Pochyliły głowy ku zgasłym blaskom zachodu:
żegnają dzień.
Pochyliły głowy ku południowi:
witają noc, idącą od gór.
Znieruchomiały —
Modlą się.
Modlą się w ciszy i ciemnościach nocy sierpniowej,
pewnie i za me serce. —
Święte, dobre Bożki mego dzieciństwa —
Snopki zboża,
stojące rzędem na wzgórzu.

„Słowianka".

DOBRE RADY PANI ZOFII

JEDZIEMY NA ZJAZD „KRAINIACKI"!

W zeszłym miesiącu przyrzekłam Wam, Drodzy „Krainiacy", że w miesiącu sierpniu wyznaczę ostateczny termin naszego zjazdu. Otóż odbędzie się on dnia 11 września br.

Dzień ten w Żninie będzie w ogóle bardzo atrakcyjny, gdyż przypada w nim zakończenie Targów Pałuckich oraz wielki Bieg Sztafetowy Biskupin — Żnin o nagrodę przechodnią I. K. P. i szereg pomniejszych nagród.

Zawodnicy zjadą się z całej Polski, aby ubiegać się o puchar, ufundowany przez Wydawnictwo A. Krzyckiego.

Warto więc tym więcej wziąć Wam udział w tak długo oczekiwanym i projektowanym zjeździe „Rodzinki".

Na zjeżdżanie się Wasze przeznaczam cały dzień, abyście mogli korzystać z dowolnych środków lokomocji. Każdy z uczestników zjazdu bezpłatnie będzie umiał znaleźć dom naszego wydawnictwa, gdyż jest on oznaczony dużymi literami „I. K. P." (ul. Śniadeckich 8).

Ja, Wujek Janusz i cały zespół redakcyjny przyjmować będziemy uczestników zjazdu w świetlicy, na terenie naszych zakładów. Do programu należeć będzie szczegółowe zwiedzenie samych zakładów, dalej miasta, Targów Pałuckich i ewentualnie asystowanie przy rozdawaniu nagród zwycięzcom zawodów.

W godzinach popołudniowych miłych nam gości potraktujemy herbatką tańcującą w świetlicy.

Orkietsrować nam będzie radio i adapter. Wieczorem pożegnanie i odjazd z nadzieją na nowy zjazd gremialny. *Zofia.*

ROZWIĄZUJĘ WAŻNE SPRAWY

„Eros". „Kochana Ciotuniu! Chociaż Ty o mnie zapomniałaś, czy też nie chcesz mnie znać z powodu tego, że niby dokuczyłem Ci, to jednak nie dam Ci spokoju i będę Cię tak długo nudził, aż sobie przypomnisz mnie i się rozchmurzysz i uśmiechniesz.

Jak widzisz, jestem uparty i trudną sztuką jest pozbawienie się mnie. Jak mnie przednimi drzwiami wyrzucają, wchodzę tylnymi lub pukam tak długo, aż mi otworzą. Ale swoją drogą jesteś niedobrą, żeby tyle listów zostawić bez odpowiedzi. Aha, już wiem dlaczego! Chcesz się dowiedzieć? Otóż masz serce wolne i pragniesz je takim jeszcze zachować, dla tego obawiasz się, by „Eros" nie spłatał Ci figla. Wiadomo, że lubi ludziom się sprzeciwiać i ma niejedną zdradliwą strzałę w kołczanie, którą znienacka wypuści. Tego obawiasz się dla siebie i dlatego trzymasz się zdala. Ale płonne są Twe obawy, bo „Eros" wie, jaką zbożną, wyczerpującą i odpowiedzialną pracę wykonujesz. Wie też, że praca ta jest doniosła w skutkach i dlatego wymaga jasnej głowy, wolnego serca, dużo poświęcenia, zrozumienia i wyrozumienia. Matkujesz przecież tak obszernej „Rodzinie", wysłuchujesz tylu skarg, żalów, bólów i smutków, choć nie brak i uśmiechów radości i zadowolenia. Te jednak są w znacznej mniejszości.

Potrzeba Ci więc jednych pokrzepiać i podnosić na duchu, by nabrali nowej wiary do ludzi i świata i na nowo nauczyli się cieszyć i uśmiechać, drugich trzeba w ich różowych usposobieniach podtrzymywać. Jest to zadaniem nielada. Spełnianie tego rzetelnie i uczciwie, tak jak Ty to robisz, staje się po prostu misją. Ludzie mają Ci więc dużo do zawdzięczenia, a Ty możesz być dumną ze swego dzieła i wyników pracy.

Ja próbuję Ci pomóc w miarę sił i zdolności, ale niestety, nie mam szczęścia! Wszystkie moje ofiary mało się poprawiły. Moja praca była więc nieudolna i marna, kiedy nie dała pozytywnych wyników".

Ponieważ sam mnie usprawiedliwiłeś, Drogi „Siostrzeńcze", przeto nie będę mówiła już na temat mego rzekomego zapomnienia o Tobie, a poruszę wszystkie ważne sprawy, jakie mi nałożyłeś na serce.

Otóż w sprawie tej „Krainianki" nie mogę tak na poczekaniu nic zrobić. Musisz wpierw zorientować mnie dokładnie, jakie ona ma wykształcenie, co umie, w jakim kierunku ma zdolności, czym chciałaby się zająć i czy otrzymałaby pozwolenie Rodziców na wyjazd w posadę. To ostatnie jest najbardziej ważne. Ponadto nie wiemy przecież, czy pracowała już zawodowo, a jeżeli tak, to jaka to była praca. Ile ma ona lat — słowem, musiałabym otrzymać jej życiorys.

Jedyna rada, którą mogę dać Ci już dziś, to to, że powinna ta pani pomówić z rodzicami, a po uzyskaniu od nich pozwolenia na objęcie pracy samodzielnej, niech da odpowiednie ogłoszenie do „Mojej Przyjaciółki". Rzadko się zdarza, że ogłoszenie w tym tygodniku nie daje pozytywnych rezultatów.

To byłoby jedno. Punkt drugi, dotyczący komunikatów, będzie rozwiązany poniżej.

Fotografię Waszej wycieczki posyłam Panu listem prywatnym i informuję, że dalsze zdjęcia mogą zainteresowani otrzymać w firmie fotograficznej E. Błochowiak — Żnin, ul. Kościelna, w cenie, zdaje się, 25 gr. za sztukę.

Numery okazowe „Moich Powieści" i „Mojej Przyjaciółki" wysłała już nasza administracja na podany przez Ciebie adres.

To byłoby wszystko, gdy chodzi o interesy. A teraz pozwól, że podziękuję Ci serdecznie za nadesłane mi zadania do „Chwili zastanowienia", które ku mej radości opracowałeś po jednej stronie arkusza.

Ponieważ zawsze mocno przejmuję się losami mego „Siostrzeńca", przeto zanoszę do niego niespokojne pytanie, jak upłynął mu okres wakacyjny, spędzony na obozie w Strzeszynie? Spodziewam się, że jak najmilej, choćby dlatego, że pogoda okazała się bardzo łaskawa — prawda?

Czekam na długi list, promień przeżytych wrażeń, posyłam życzenia dalszej pracy i przechodzę do komunikatów.

„Psychoanalizo" i „Szara Dziewczyno" — zamilkłyście. Dlaczego? Czekam wieści i ślę moc pozdrowień!

„Zefi", co słychać u Ciebie? Długo namyślasz się, czy tak bardzo brak Ci czasu? Rozwinęłaś widzę skrzydła. Czekam i pozdrawiam serdecznie.

„Waldemirze" ślę pozdrowienia!

„Zuch Dziewczyna". Dziękuję za pozdrowienia i dobrą radę, ale pomyłka powstała nie przeze mnie. Może nawiążemy kontakt? Radosne pa i pozdrowienia!

„Dafne" — prośbie uczyniłem zadość. Czy jesteś zadowolona? Pozdrawiam serdecznie.

Wszystkim, którzy przesłali mi pozdrowienia, dziękuję za pamięć i odwzajemniam je.

Całej „Rodzince" radosne pa i pozdrowienia!

„Przedwiośniu" dziękuję za pamięć i pozdrowienia, odwzajemniam je i — może otrzymam jeszcze odpowiedź na dawny list?"

DOSŁAŁAM

P. A. B. — Kuźnica na Helu. Uprzejmie dziękuję Panu za pozdrowienia i z przyjemnością komunikuję, że list Jego dosłałam zainteresowanej osobie. Czy udało się Panu podtrzymać z nią kontakt korespondencyjny?

Może napisze mi Pan dłuższy list i opisze, jak spędza czas w tej pięknej nadbałtyckiej miejscowości?

Ślę Panu miły uśmiech i szczere życzenia!

ZNALAZŁAM MIEJSCE DLA PANA

„Niedźwiedź z puszczy". Z miłą chęcią poszukałam dla Pana miejsce w „Krainie". Nie było to zresztą zbyt trudne, gdyż teraz „Kraina" bardzo się rozszerzyła i przez to może jeszcze masę nowych przyjąć członków.

Sprawę prenumeraty przekazałam naszej administracji.

Życzę Panu dużo pogody i wesołości i oczekuję długiego listu.

POŻEGNANIE GÓR

W oknie wagonu zadumany stoję —
Żegnajcie na długo śliczne góry moje!
Tam w oddali siny Giewont skałę wznosi
I zdaje mi się, że o wspomnienie prosi.

Odjeżdżam: po raz trzeci już dzwonek mi głosi,
Że za chwil kilka — góry! nie zobaczę was!
Szybko, w głąb kraju pociąg mnie unosi —
I w biegu zatrzymać nie mogę chyży czas...

Słowem oddać nie umiem chwili pożegnania
Odmalować przepiękny czar tego widoku,
Bo nagle — mgłą przecudny krajobraz zasłania:
Tak, to łza rozrzewnienia w moim błyszczy oku.

Zbigniew Wicherek.

PIESZCZOTA...

Dobrej „Marucie“
na dzień Imienin...

Maleńkich rączyn pieszczota
Koi Twe smutki i żale...
A przecież nieraz ból srogi,
Przyniosą wspomnień fale...

W cichej tej, słodkiej pieszczocie
Znalazłaś swój cel życia,
Choć jeszcze nie raz, nie dwa,
Los smagnie Cię z ukrycia!

Lecz nikt Ci już nie zdoła
Wyrwać tej cichej radości
Z maleńkich rączyn dzieciny,
W których ta radość się mieści.

A dziś, rączyny pieszczotą
Skroń Twoją słodko utulę...
A kiedyś... słodkie usteczka,
Nazwą Cię: Matką, Matulą!...

„Biała Uajali“.

POLECAM CIĘ

„Wesoła Maruszka“. Króciuteńki jest Twój list, Maruszko, tak króciuteńki, że nie wiadomo, co nań odpowiedzieć. Widać z niego, że spieszyłaś się bardzo, pisząc go do mnie.

Nie wiem, dlaczego nikt nie odpowiedział na Twój apel — widocznie, tak jak przypuszczasz, nikt z „Krainiaków“ nie zwrócił nań uwagi. Ale teraz zapewne już spostrzegą Twoją obecność wśród swego grona, zwłaszcza, że polecam Cię, jako bardzo miłą i pogodną „Krainiankę“.

Przeznaczam dużo pogodnych uśmiechów na Twoje konto i przechodzę do komunikatów: „Gwiazdeczko“! Jeżeli znasz „Madzię“, to może znasz też „Wesołą Maruszkę“. Skrobnij, a dowiem się, kim jesteś. Serdecznie Cię pozdrawiam i czekam z utęsknieniem listu!

„Bella Donna“ — dziękuję za pozdrowienia, które odwzajemniam. Pierwsza nie mam odwagi napisać.

„Dyktator“. Podziwiam Pana i brawo! Sądzę, że Żydostwo do naszego pisemka jeszcze nie wtargnęło. Serdecznie Pana pozdrawiam! Pozdrawiam całą „Rodzinkę“. Do zobaczenia w Żninie!“

CO U CIEBIE NOWEGO?

„Rozśpiewana Izabela“. Czekam na przyrzeczony długi list, a na razie z przyjemnością czytam ten krótki, który leży przede mną na biurku. Wynika z niego, że czujesz się nieźle po przebytej chorobie i że nie obawiasz się powrotu słabości. Zapewne teraz już i zapomniałaś, że w ogóle był czas, w którym byłaś niezdrowa — prawda?

Chciałabym wiedzieć, czy wyjeżdżałaś gdzieś na wakacje i w ogóle, co u Ciebie zaszło nowego w okresie letnim!

Przyjmij moje dobre życzenia i pisz!

„Bella - Donna“. Wróciłaś już z P.? List wysłałam do W.

„Echo Wsi“ — proszę przyjąć pozdrowienia od kogoś bliskiego.

„Avery“ — moc pozdrowień zasyła Ci ktoś z Cz.

„Smutny Lutku“ — dziękuję za pozdrowienia, które podwójnie odwzajemniam.

„Jaśku - Sokole“ — pozdrawiam! Do miłego zobaczenia, Prawda, że pomyłki nie było?

Poza tym przesyłam pozdrowienia „Dyktatorowi“, „S 13“, „Heńkowi“, „Zrównoważonemu Jasiowi“ i „Samotnemu Romowi“.

Z PRZYJEMNOŚCIĄ!

„Samotny Agronom“. Z przyjemnością załatwiłam sprawy, które mi Pan powierzył. Nie zdążyłam tylko odpisać Ci przed zapowiedzianą zmianą adresu i teraz nie wiem, czy mieszkasz jeszcze tam, gdzie mieszkałeś przed 1. maja, czy też Twój adres zamieszkania jest już inny. Może zechcesz napisać mi, jak się ta sprawa przedstawia — bardzo proszę!

Życzę Panu powodzenia i głębokiego zadowolenia w pracy i posyłam uścisk dłoni.

PRACUJ UCZCIWIE I PILNIE!

„Nina — harcerka“. Niewymowną radość sprawiła mi wiadomość, że otrzymałaś już posadę i to z kategorii nienajgorszych. Pracuj tylko uczciwie i pilnie, a na pewno awans nie pozostanie w sferze niedościgłych marzeń.

Przyjemnie to czytać, że pracujesz, że w domu panuje znowu harmonia, że w godzinach wolnych od pracy uczysz się języków obcych i poświęcasz się działalności harcerskiej. Pozostaje mi tylko życzyć Ci, aby stale tak było.

Owszem, wiem dobrze jakim jasnym słoneczkiem jest „Zuch - Dziewczyna“ i nie dziwię się, że i Ciebie podbiła swą dobrocią i — przyznasz sama! — troskliwą opieką.

Z największą więc przyjemnością przekazuję jej od Ciebie dużo siostrzanych uścisków. Ponadto oznajmiam, że pozdrawiasz całą „Rodzinkę“, a harcerkom i harcerzom posyłasz wasze wspólne hasło „Czuwaj“!

W NADZIEI...

„Samotna Dusza“. Dobrze już, dobrze! Nie mam absolutnie zamiaru gniewać się na Ciebie, Dziecino! Powiedz mi raczej z kim korespondujesz tak naprawdę serdecznie i szczerze? Sądzę bowiem, że znalazłaś sobie przyjaciół oddanych w naszej „Rodzince“ — wszak dużo listów otrzymałaś z różnych stron kraju.

Za zjednanie mi dwóch nowych prenumeratów szczerze Ci jestem zobowiązana, możesz mi wierzyć!

Kończę ten list w tej miłej nadziei, że tylko popatrzeć, a na biurko padną dwa arkusze listu wysłanego przez Was. Czy będzie tak, Kochane Wy Moje?

„Samotna Włościanko“. Dziękuję bardzo za miły liścik. Przesyłam Ci milutkie pozdrowienia!

„Samotna Ślązaczko“ — przyjmij siostrzany uścisk dłoni.

„P. A. J. — Piotrowiec“ zasyłam miłe pozdrowienia z rodzinnych stron.

„Elem n. Notecią“. Pozdrawiam i zasyłam miły uścisk dłoni.

„Dyktator“. Dziękuję za pozdrowienia. Oświadczam, że nie jestem już teraz tak samotna, gdyż koresponduję, a korespondencja daje mi dużo zadowolenia.

„Panu T. Cz. z Gniewkowa“ dziękuję za życzenia świąteczne.

Wszystkim „Krainiakom“ zasyłam moc pozdrowień.

REPORTAŻ Z WOROCHTY

„Przybłęda Leśny“. Nie masz pojęcia, Przyjacielu, ile radości przyczynił mi Twój list, który zamieszczam poniżej!

Raduje mnie Twoja młodzieńcza, tętniąca od radości, urody, że tak powiem życia — tężyzna! Twój czysty, zdrowy humor i sympatia gorąca dla „Rodzinki“. Zaś wzrusza niepomiernie zaofiarowanie się do wykonania tableau wszystkich zjazdowiczów.

Tylko nie wiem, czy uda się nam to zrealizować bo ci „Krainiacy“, którzy wybiorą się na zjazd, musieliby przywieźć z sobą swoje zdjęcia o wymiarach 4,5×6 cm, wykonane na białym tle i wręczyć Ci je do dalszego opracowania. Pociągnęło by to za sobą drobny wydatek, na który może niewszyscy zechcą się zgodzić.

W każdym razie ci, którzy będą mogli, niech koniecznie przywiozą swoje zdjęcia. Oczywiście, że ja i Wujek Janusz dostarczymy swoich także!

W sprawie zaś protegowanej przez Ciebie „pari“ oznajmiam z przyjemnością że przyjmuję ją do „Rodzini“ na Twój „racune“. Oczywiście do czasu, kiedy otrzymam ich osobiste listy, Nawiasem zaznaczam, że listy te będą mile widziane i niecierpliwie oczekiwane!

A teraz ślę Ci przyjacielskie pozdrowienia i przedrukowuję ten Twój wspaniały list:

JAK TO BYŁO W WOROCHCIE...

„Jak się bawiłeś w Worochcie? — Jak Pan spędził urlop? — Czy miał Pan pogodę w Worochcie i czy warto tam jechać?...“ No i wreszcie: „Czy dużo odpoczynku i przyjemności dała Panu Worochta?“ — Oto cały potok słów jakie na mnie spłynęły po powrocie z urlopu! Trudno więc nie dać odpowiedzi i nie podzielić się wrażeniami z tymi, którzy tam nie byli względnie być nie mogli. A, że tych ostatnich było sporo, trzeba więc było „wykładać im, jak na talerz“ każde swoje posunięcie w górzystym terenie. „A czy to tak bezpiecznie chodzić po takich wysokościach?“ — zagadnął jeden z „odważniaków“. Dalejże więc mu na nowo — tłumaczyć i przekładać sposoby zdobywania szczytów. Byli i tacy, którym w głowie pomieścić się nie chciało, by w czerwcu leżał śnieg na szczytach, (kiedy tam podobno słońce tak silnie piecze, że nawet w zimie opalić się można). — Jednym słowem, była przewaga takich, którzy góry znali z obrazka lub kina, byli jednak i tacy, którzy wmawiali w siebie... „urodzonych - górali“. Bujali więc niesamowite rzeczy o zdobywaniu szczytów, a już samo wejście na „Howerlę“ (2058 m. n. p. m.) — uznali za... mniej niż łatwe. Jednym słowem zrobili z Horwerli — płaszczyznę — co najgorsza — położoną poniżej... poziomu morza. — Wściekłość mnie ogarnęła — i w tym momencie przypomniałem sobie od razu współlokatora pensjonatu, który podczas pierwszej kolacji zdobywał, bez najmniejszego wysiłku, szczyt po szczycie, już nie naszych kochanych Tatr, czy Beskidów, lecz co gorsza.... Alp! Okazało się jednak przy pierwszej wycieczce, że ów „wytrawny alpinista“ zdobywać musiał „skromny“ (dla niego) szczycik Howerlę — dosłownie na czworakach. Co więc tu dużo g[illegible] — są i „bohaterowie buzi“ jak pływacy w zimie, jak narciarze na płaszczyznach!...

Jak Pani widzi, miałem „ciężką pracę“ — trudno więc było udzielić wcześniejszej odpowiedzi na ostatnie pytanie. Czynię więc to dopiero dzisiaj.

Do Worochty wyjechałem w dn. 1. 6. br. z kolegą „po fachu“, mając początkowo wytyczony kierunek do Zakopanego (o czym wspominałem w „Krainie“). Plany pokrzyżowały się dopiero na kilka dni przed wyjazdem. Po drodze zwiedziłem Lwów i jego zabytki nie pomijając oczywiście zwiedzenia odbywającej się w tym czasie „Krajowej Wystawy Lotniczej“. Piękny Lwów, piękne jego zabytki, wspaniałe budowle, lecz jedno smutne... „pejsate — Icki“.

Wszędzie ich można spotkać, wszędzie się wciskają, pozostawiając za sobą brud i nieporządek! — Czyż taki dworzec nie wyglądałby więcej imponująco, gdyby wokół świeciły czystki? — Smutno, Lwowiacy — pomyślałem sobie — umieliście tak bohatersko bronić Lwowa, a na „Icków“ nie macie rady? — Zapakujcie ich ostatecznie w wagony i odeślijcie do Poznania, a my im „szkołę damy“.

Do samej Worochty przybyłem dopiero 4. 6. br. i po ulokowaniu się w pensjonacie położonym ślicznie nad Prutem, rozpocząłem wycieczki po okolicznych szczytach! Zrobiłem masę zdjęć, z których niektóre postaram się nadesłać. Pogoda sprzyjała mi cudnie — cóż, kiedy na słońce (opalać się) wyszedłem dosłownie dwa razy. Widocznie słoneczko poznało doliniarza i dało mi taką „szkołę“, — że skórka moja bielusia — schodziła tak pięknie, jak gdybym chciał ją całą zmienić. Rezultat był taki, że po 3 dniach wyglądałem jak „rażony iperytem“ i tylko spod koca — wystawiałem „mordkę“ na słoneczko. Kuracja — trwała całych dni 14-cie! Opalenizna (nazwać by tu ją można spalenizną) jednak pozostała — i jak „karafka od piwa“ wróciłem do pracy. Wypoczynek był idealny, wrażeni pozostały niezatarte! Czekam na nowy urlop by znów połykać to cudne górskie powietrze.

Oto skromny reportaż wrażeń, jakich doznałem w Worochcie. Jedno ważne, że nie zapomniałem i tam o Pani i Jej „Kraince“ (przesyłając pozdrowienia), a co najważniejsze, zdobyłem „parkę“ dla naszego „państewka“. Postaram się więc w streszczeniu poniżej opisać „zdobycz“:

Ona:

„Rozkoszna Blondyneczka“ — to urocza blondyneczka, pełna humoru i temperamentu. Przepada pasjami za muzyką, śpiewem, tańcem i lubi szalenie podróżować. Dlatego, że sama jest harcerką, chciałaby poznać wśród „Krainki“, miłą koleżankę o tym samym „prądzie“. A więc uwaga!: Harcerze i Harcerki — pierwszeństwo! „Niestowarzyszeni“ — mile widziani!!!

On:

„Ulsen“ — to przystojny szatyn, średniego wzrostu, o marzących niebieskich oczach, mieszkaniec niedostępnych borów (dlatego sam mało dostępny) — żądny wrażeń i ciekawych przygód. Lubi dużo korespondować! Zdradza 100 proc. zainteresowania „Kropelką leśnej rosy“, dla której (muszę zdradzić) dał się głównie „wciągnąć“ w nasze szeregi. Sądzę, że „Kropelka“ nie pozostanie bez echa i choć „kropeleczką“ się odwzajemni. (Zaznaczam, że w za-

mian otrzymać może ślicznego chłopczyka w mundurze!)

Ze swej strony pragnę dodać, że tak Ona jak i On stają po stronie „Zjazdu Krainiaków w Żninie", a ja zaznaczam, że celem uwiecznienia tego Zjazdu, zobowiązuję się wykonać bezinteresownie „tableau" z umieszczeniem fotografij tych wszystkich, którzy udział w nim wezmą. Oryginał tableau oddałbym na własność „Krainy", a odbitki nabyć mógłby każdy po cenie faktycznych kosztów wykonania u tutejszego fotografa. — Byłaby to miła i wieczna pamiątka! A więc poddaję sprawę pod głosowanie Pani i wszystkich „Krainiaków". Format tableau byłby mniej więcej 80x50 cm. Fotografie uczestników Zjazdu o wymiarach 4 i pół x 6 cm. (na białym tle), jak i fotografię Pani i Wujka Janusza musiałbym oczywiście uprzednio otrzymać, jak również fotografię (format pocztówkowy) Redakcji „Moich Powieści". Pod każdą fotografią mieściłby się podpis „pseudonimem".

A więc czekam szybkiej decyzji, ze względu na zbliżający się Zjazd i przesyłam dla Wszystkich serdeczne pozdrowienia!

Ponieważ wstępująca „parka" ma ogromną tremę i obawia się coś napisać, proszę o szybką decyzję co do ich przyjęcia.

Po tym przydługawym liście pragnę dorzucić jeszcze swoje komunikaty:

„Smutna i brzydka Irko"! Dlaczego tak zaklęcie milczysz? Przesyłam prześliczne pa i czekam!...

„Maryśka K. z Chm." Kara być musi — odpowiedz później! Przesyłam moc serdeczności i uścisk rączki!

„Oleńka Zbyszewska — Potarzyca". Czy domyślasz się kim jestem? Załączam moc serdecznych uścisków dla Wszystkich!

„Kalina" — Pozory mylą! Proszę spróbować napisać!

„Kropelka leśnej rosy"! Wszyscy z moich kolegów, ze mną na czele — zachwycają się Tobą! W imieniu wszystkich „leśnych duchów" przesyłam — „leśne nastroje"... a od „hr. Ulsena" wyrazy sympatii!

HEJ WY WICHRY!...

Siostrzyczce „Niestrudzonego Wędrowca" Miłej Lusieńce — dedykują na dzień Jej imienin.

Wiatr tuman kurzu podbija po drogach
I szarpie wściekle konarami drzew.
Jęczy i wyje — tak łka na rozłogach,
Jakby upiory, wysysająć krew...

W stęgach błyskawic, na chmur czarnych zwale
Demony tańczą — skupiwszy się w krąg —
A straszne wizje wloką się ospale...
Przygnane wichrem — hen z dalekich łąk!

Ciemno nad światem — niebiosa się palą...
A z tych odmętów przeogromną falą,
Jakieś tragiczne, pełne bólu, żalu...
Wspomnienia płyną z mrocznej tej oddali...

Zabierzcie — że mnie wy, wichry szalone,
Węże błyskawic otoczcie mnie wieńcem...
Niech w churaganie burzy, potępieńczym,
Odnajdę szczęście me, w ciszy stracone.

Kaja Purollówna.

CZY PRZYJMUJECIE Z PRZEKONANIEM?...

„Zuch - dziewczyna". Kochana jesteś, jak zwykle, Moja Mała Dziewczynko! Przekonałam się, choćby na Tobie, że moje twierdzenia rzadko mijają się ze słusznością. Dlatego też bez zbytnich obaw aplikuję Wam wszystkim moje „dobre rady", jak głosi nagłówek w „Krainie". Chodzi tylko jeszcze o to, żebyście je odpowiednio chętnie i z przekonaniem przyjmowali.

Cieszę się, że u Ciebie wszystko w porządku i pragnę z całej duszy, aby i nadal tak pozostało!

Komunikaty Twoje zmieniłam według swego uznania — nie powinnaś mieć specjalnych zastrzeżeń w tym kierunku.

Wierszyki zamieszczam.

Pozdrów Rodzeństwo i Kuzynkę, a sama przyjmij moc pozdrowień ode mnie!

„Hejka, Leszek, Jerzyk i Zygmunt! Mocno Was ściskam i całuję za ten prześliczny prezent imieninowy!

Władzia, Hańka, Władysław! Serwus — znamy się!

„Ziuteńka"! Twoja wiązanka róż, jak również róże Lusienki były najmilszymi niespodziankami bo choć kwiatów mam dużo, jest różnica mieć, a dostać, i to od osób kochanych!

„Lusieńko", ucałuj Wszystkich i wiedz, że jestem Wam bardzo oddana i niemal Wasza! List wysłałam i wiesz? — spełnią się, może marzenia!

„Bajka", Kaja, „Maruta"! Moje złote, kochane kobietki, — tyle radości sprawiła mi Wasza pamięć! A za przecudny wierszyk, Kajuś, jestem Ci wdzięczna!

„Taki Jeden". Dziękuję! Chwilowo, wybaczy Pan, że nie będę mogła pisać, ale może za dwa trzy tygodnie znowu skrobnę.

Wszystkim, którzy mi przesłali ukłony, pozdrowienia i życzenia — serdecznie dziękuję! A „Carmen", słodką dziewuszkę, proszę o list. Mam dość radości, mogę ją rozsiewać po całej Polsce, a nawet zabłądziła do Syrii! Czekam!

„Bajka". Masz, Kochana, pozdrowienia od Ziuteńki i „Wołyniaka". Niestety, mimo najszczerszych chęci, nie mogliśmy Cię odwiedzić.

„Marutka". W dniu Twych Imienin życzę Ci spełnienia marzeń, pociechy i radości od Stasiulka!!

„Carmen". Czy odpiszesz na mój trochę dziki list?

Wszystkim Sympatyczkom serdeczne pozdrowienia i żałuję, że nie mogę jechać na zjazd „Krainiaków". Trudno, może w przyszłym roku i ja się zjawię! Oby!"

„Niestrudzony Wędrowiec". Jesteś naprawdę „niestrudzonym", ale za to cenię Cię i wiesz — oczekuję z wielką tęsknotą dnia, gdy znów zawędrujesz do Łodzi. Oby jak najrychlej!

„Wołyniak" Julku — cudowny kawał zrobiła ci „Zuch Dziewczyna" — ale pociesz się tym, że to nie Ty pierwszy i... nie ostatni"!

JEŻELI SIĘ ZDECYDUJESZ...

„Kazimierz Junoszyc". Właśnie odpowiadam na list, w którym obiecuje mi Pan nadesłać swoją podobiznę, a oto w międzyczasie otrzymałam ją już i chowam w biurku do czasu, kiedy mi napiszesz, czy godzisz się na umieszczenie jej w „Krainie". Jeżeli zdecydujesz się na przedruk, dam ją do jednego z najbliższych numerów, a jeżeli nie — to włożę do albumu „Krainy" na wieczną, że tak powiem rzeczy pamiątkę.

W Warszawie, mówisz, ładnie i trochę nudno? Jak się ma predestynacje do nudy, to można się nudzić nawet w mitycznym Eldorado — a czego to dowodzi?

No, ale przypuszczam, że w ostatnim miesiącu ani Ci w głowie nudy — prawda?

Prosisz mnie, abym oznajmiła rodzajowi męskiemu „Krainy", że pragniesz i z nim nawiązać kontakt korespondencyjny, co niniejszym uskuteczniam.

Życzę Ci zadowolenia w korespondencji!

Wam, Drodzy Sympatycy, donoszę, że Junoszyc pozdrawia wszystkich bardzo serdecznie a szczególnie H. Justyńską i „Banialukę".

REFLEKSJE W PUSTYM POLU

Nad polami cień zapada,
Subtelny jakiś cień...
Może to pustka drży blada,
Lub idzie smutny dzień?...

Nad ścierniskiem ptak kołuje,
Zbłąkany w świecie ptak...
Czyż to się kres za nim snuje,
Czy mu już tchu jest brak?...

Nad polami mrok się kładzie,
Wieczorny, mglisty mrok...
Może to w mgieł tych bezładzie,
Zamiera życia krok?...

Lub może duch tych pól sinych
O prawdzie mówi tej:
Że istnień celem jedynym —
Jest tylko: „panta rei"...

Maria Zemmlerówna.

ZREALIZUJ!

„En - Ka". Oj, Miły Panie, wolę, abyś sam znalazł w naszym gronie odpowiadającą Ci osobę. Tyle jest miłych i inteligentnych, że trudno zdecydować się na wskazanie kilku tylko pseudonimów, a znowu nie sposób było by wymieniać wszystkie! Zresztą, tak sobie myślę, że teraz masz już na pewno wybranych przyjacieli w „Krainie".

Życzenie moje serdeczne, abyś dobrze spędził lato — płynie ku Tobie. Przyjmij je i zrealizuj!

„Przedwiośnie" — czy przypominasz mnie sobie? Zasyłam Ci mocny uścisk dłoni i uznanie!

„Smutna Iwonko", mam szczerą chęć nawiązania z Tobą łączności. Czy zgadzasz się? Może u mnie także odżyją wspomnienia z „budy".

„Rusałko" — zdaje się, że znam Ciebie. Czy mogłabyś zdradzić miejsce, względnie okolicę, w której zamieszkujesz?!

INFORMACJI UDZIELIŁAM

„Znad Prosny". Z przyjemnością wysłałam do Pani list z informacją, o którą poprosiła mnie taka dawna prenumeratorka „Moich Powieści".

A może przyłączy się Pani do ściślejszego grona prenumeratorów, zrzeszonych w „Krainie"? Bardzo było by nam miło powitać w Pani nową Sympatyczkę!

Życzę Pani wszystkiego najlepszego w życiu i zasyłam promienny życzliwością uśmiech.

OCZEKUJĘ ODPOWIEDZI!

„Mary z Gdyni". Dziękuję Ci Kochana, za nadesłanie adresu. Właśnie z powodu zmiany pseudonimu zwróciłam się do Ciebie o ponowne podanie mi go.

Listy wysłałam i z kolei oczekuję od Ciebie dużo nowych wiadomości. Między innymi ciekawi mnie, czy miałaś już urlop i gdzie go spędziłaś?

Życzę Ci dużo przyjemności i oczekuję odpowiedzi!

JESZCZE W SPRAWIE ZJAZDU!

„Irek" prosił mnie o zakomunikowanie Sympatykom „Krainy", z okolic Gniezna, że mógłby... ale przeczytajcie sami:

„W odpowiedzi na odpowiedź" Pani pragnę podzielić się z Nią mym nowym projektem, dotyczącym organizującego się zjazdu „Rodzinki".

„Otóż mam zamiar zorganizować specjalny autobus na ten zjazd. Proszę przeto bardzo Panią o zakomunikowanie Sympatyczkom i Sympatykom „Krainy Szczerości", zamieszkałym w Gnieźnie i pobliskiej okolicy, aby zechcieli skomunikować się ze mną w sprawie nabycia ulgowych biletów. Ponieważ mam obecnie możność i odpowiednie znajomości, mogę się tym zająć. Ze względów finansowych, pożądana jest jak największa liczba zgłoszeń.

Nie wiem jak Kochani „Krainiacy" z grodu Lecha się tym zainteresują, lecz mam nadzieję, że Pani „draśnie" swym piórem redakcyjnym i ich do tego zachęci. Uczestnicy i Uczestniczki zjazdu zechcą się pofatygować osobiście, względnie telefonicznie pod adresem: „Irek", w firmie ekspedycyjnej K. Błoński, Gniezno, Dworzec Towarowy, tel. 387. Chętnie byłbym sam postarał się ich odwiedzić, lecz przecież, niestety, nie znam ich adresów! Zobaczymy co z tego będzie!" Pozdrawiam wszystkich serdecznie!

NAJSERDECZNIEJSZE ŻYCZENIA!

„Pannie Wisi Rogowskiej z Bronowic w dn. Jej Imienin składa najserdeczniejsze życzenia *Leon Kuciel*".

NA WYWCZASACH

Uciekłem z miasta na odludzie,
w bory się skryłem rozpachnione.
Tu mi nie trują życia ludzie,
tu nikną dole zalzawione.

Jest mi tu dobrze, cicho, błogo,
sam na sam bywam wciąż z naturą.
Jednego tylko strzegę srogo,
— by nie wróciły dni ponure.

O tobie myślę tylko, droga,
i brak mi ciebie każdej chwili,
ta myśl o tobie zawsze błoga,
bo czas mi przez to zbiega milej.

Szkoda, że cię tu nie ma przy mnie,
że cię, niestety, mieć nie mogę!
Razem byłoby nam przyjemniej,
a tak? Cóż? Sam pójdę w dalszą drogę.

Lecz wierzę mocno, z całej siły,
że znów powrócą dni kochane.
Te zbiegłe dni, co nasze były, —
dni ciągle w myślach wspominane.

Adam Czekalski.

CZEKAM...

Skreśl do mnie kilka słów.
Już jest przed nami lato —
Pamiętasz?
prosiłem cię zawsze
o polną wiązankę kwiatów.

Pamiętasz, jaką my wtenczas
wybrali stromą ścieżynę,
przed naszym zachodem słońca... — —
jedyna?

Pamiętasz twe słowa?
„gdy lato...
powróci ścieżyną stromą... —
mam oczekiwać cię w wieczór,
przed twoim domem?"

Gdy bzy przekwitną...
— a lipy...
wonią słodyczy nabrzmiałe
zakwitną... mam przyjść do ciebie,
zapukać w okienko małe.

A gdyby ktoś mnie zapytał
na kogo tak długo czekam?
mam odpowiedzieć na to...
która się zwie: „daleka — — —"

A gdyby odpowiedział,
że nie zna tej... z daleka — —
mam wtenczas odejść, zapomnieć!
— — — — —
wybacz! Czekam!...

Józef Baranowski.

ZOBACZYMY SIĘ NA ZJEŹDZIE!

„Smutna Kazieńka". Pragnę bardzo dowiedzieć się, gdzie teraz jesteś, Kochanie, bo dawno już nie napisałaś mi tak dużo i szczerze, jak w liście, który właśnie czytam. A ponieważ wiem, że zawód, który Ci przypadł w udziale, jest ciężki, więc tym bardziej niepokoję się, nie wiedząc, jak ci się obecnie powodzi. Musisz mi jak najszybciej napisać o sobie dużo, dużo!!!

Cieszę się, że obiecujesz przyjechać na zjazd „Krainiaków" — porozmawiamy znów sobie, tak naprawdę bezpośrednio i szczerze.

Jeszcze jedno mnie niepokoi, mianowicie to, czy zwrócono Ci już tę pożyczoną kwotę — wiem, jak mocno by Ci się przydała.

Patrzę na tasiemiec Twoich komunikatów i biję się z myślami, czy je zamieścić, bo może już nie są aktualne? Nie wiem — ale że zaszkodzić nie zaszkodzą, więc niech idą!

Całuję Cię serdecznie i spodziewam się, że już niedługo zobaczymy się na naszym zjeździe.

„Biała Uajali"! Kochanie, dlaczego milczysz? Co się z Tobą dzieje, czy zapomniałaś już o swej Duśce? Pisz, bo wiesz, jak tęsknię za Twoimi listami. Pozdrawiam Cię i całuję!

„Blanka". Droga Pani, dziękuję za pozdrowienie i dobre słowa. Będę się starała być już teraz wesołą, aby się Pani przypodobać, bo Pani nie lubi smutnych twarzy. A przyznam się jeszcze, że Panią bardzo lubię od chwili, gdy Panią poznałam w „Krainie". Zasyłam serdeczne pozdrowienie.

„Starsza Smutna Ela". Proszę się nie smucić i mieć nadzieję, a posada na pewno się znajdzie. Proszę przyjąć moc pozdrowień!

Poza tym zasyłam pozdrowienie dla „Smutnego Lutka", „Urana", „Ducha Puszczy", „Dyktatora" „S. 13". „Paganiniego z Pałuk" — ja też jestem Pałuczanką. Osobne pozdrowienie zasyłam „Sokołowi" z prośbą o list"!

DO „KRAINIAKÓW" SPOD TORUNIA!

„Samotny Lutek". Ciekawam mocno, czy nawiązałeś już bliższy kontakt z członkami „Krainy". O ile pamiętam, to rzadko piszesz, dlatego też może pozostajesz nieco w cieniu zapomnienia, co oczywiście nie dowodzi, że „Rodzinka" nie chce, czy nie może Cię pokochać.

Pisz częściej, a na pewno znajdziesz wśród nas niejednego życzliwego Ci człowieka.

Ślę Ci wesoły uśmiech i zamieszczam Twój apel:

„Halo! „Krainiacy" spod Torunia — może któryś z Was da znak jakiś o sobie?! Chętnie odwiedzę, gdyż lubię urządzać wycieczki na wieś, zwłaszcza w lecie!

Specjalnie pozdrawiam „Rozśpiewaną Izabellę, i „Samotne Serce"! Całej „Krainie" wiele przyjacielskich słów"!

CEŃ PRACĘ!

„Biała Uajali". Mam tu list Pani z datą bardzo jeszcze wiosenną, dlatego też nie zamieszczę wypisanych w nim komunikatów z uwagi na to, że przestały być aktualne. Pragnę tylko odpowiedzieć na niego, aby nie pozostał bez echa. Od tamtej daty zmieniło się już dużo w Twym życiu — a nie wiem, czy wszystko na lepsze.

Życzę Ci wiele pogody i zadowolenia i proszę, abyś ceniła pracę, którą spełniasz.

WIERSZ ZAMIESZCZAM PONIŻEJ

„Iuvenalis". Czy adres, który mi podałeś w kwietniu jest jeszcze aktualny? Mam nadzieję, że „Moje Powieści" otrzymujesz regularnie, bo nasza administracja skrzętnie notuje zmiany adresów naszych abonentów.

List Twój dosłałam. Jeżeli chodzi o Wujka Janusza, to mogę Ci donieść z radością, że przeglądnął wiersze, które wypisałeś na odwrocie listu przeznaczonego dla mnie i orzekł, że na ogół wierszyki Twoje są niezłe, lecz zachodzą w nich jeszcze dość poważne błędy, które miejmy nadzieję — w miarę nabywania większej wprawy w komponowaniu ulegną niwelacji. Do druku przeznaczył ten pod tytułem „Dwuwiersze", który zamieszczam poniżej.

Życzę Ci dużo natchnienia poetyckiego i czekam na jego widomy owoc w postaci nowych wierszyków!

DWUWIERSZE

Legenda dni odeszłych ogniem wspomnień płonie
i żal mi tylko, że jej już nigdy nie dogonię.

Chociaż po stokroć wejdę w zacisza poddasze
wiem, że tęsknoty za nią niczym nie ugaszę.

Nie wejdę nigdy w ślady dawnych ścieżek —
buntu rozedrganych warg i serca nie uśmierzę.

Choć dniom odeszłym przyjrzę się nie raz z bliska,
wiem, że dłoni dzieciństwa mego nie uściskam!

„Iuvenalis".

GDZIE SPĘDZASZ OKRES LETNI?

„Wenus". Serdecznie dziękuję Ci, Kochanie, za życzenia i oznajmiam, że liścik Twój dostałam. Drugiej prośby, niestety, nie mogę spełnić, bo wierszyk ten jest stanowczo za słaby do druku — może nadeślesz mi inny, bardziej udany.

Zastanawiam się, gdzie spędzasz letnie miesiące, gdzie i jak? Koniecznie postaraj się w całej pełni wykorzystać uroki lata. Niech w ruch idą: kajak, łódź, rower i własne Twoje nóżki w drodze na dalsze wycieczki.

Zasyłam Ci moc jasnych uśmiechów i w imieniu „Krainki" dziękuję za przesłane nam serdeczności!

TECZKA wuja Janusza

ZAGASŁO SŁOŃCE...

Byłaś mi słonkiem, ukochana,
W życiu mym byłaś cudnym snem,
Z buzią pogodną, roześmianą,
Każdego dnia witałaś mnie.

Byłaś dziewczynką, jak marzenie,
I dziś o tobie jeszcze śnię,
I nie wiem, czy to jest złudzenie,
Że jeszcze więcej kocham Cię.

Czy wiesz ty o tym, moja maleńka,
Że tęsknię wciąż, że czekam wciąż,
Pozwól uścisnąć mi swoją rękę,
I tak, jak dawniej, przy mnie siądź.

Bo jestem sam, a wokół ciemnia,
Zagasło cudne słońce moje,
I szukam drogi wciąż daremnie,
Sam jestem — naprzód iść się boję...

Helena Thielówna.

NAJLEPIEJ...

„Dyktator". A wiesz, Miły „Dyktatorze", masz dobrą myśl á propos swych ambicyj poetyckich: „najlepiej pióro złamać, kałamarz potłuc w kawałki, a swoje pragnienia zostania poetą zamknąć w stalowej klatce"! Jest przecież tyle innych rzeczy, którym można również poświęcić swoją uwagę, prawda? Niezależnie jednak od tego, myślę, że nie zapomnisz o mnie. Lubię Twoje morowe listy, i ten Twój zdrowy humor. Piszesz mi, że interesujesz się polityką. Doskonale, i ja się nią interesuję. Możemy trochę pogawędzić na jej temat.

„Dlaczego P. Zofia i Wujek Janusz nie chcą zamieścić swojej podobizny na łamach „Krainy"? Drogi Panie! Jest to zupełnie zbyteczne. Kto będzie chciał nas zobaczyć, niewątpliwie przybędzie do Żnina na zjazd, kto zaś pragnie nas widzieć tylko oczyma wyobraźni, ten umyślnie zostanie w domu i tylko będzie myślał o tym, aby nasze fotografie nie zostały, broń Boże zareprodukowane.

Żegnam Pana jak najserdeczniejszymi pozdrowieniami!

DZIĘKCZYNIENIE

Taka się czuję mocarna i młoda,
U ramion skrzydła mi rosną!
Rwę kędyś naprzód, jak wezbrana woda,
Spod lodów — wiosną.

Taka się czuję jak wszechświat ogromna,
I wszędzie jestem, w każdej słońca skierce,
Wszędzie obecna i wszędzie przytomna,
Myślą i sercem...

I za to serce, za uczucia drżenie,
I za to słońce — na mych marzeń niebie —
Dzięki Ci składam, dziś znów uniżenie,
I wielbię Ciebie...

Stanisława Matusiakówna.

WIERSZOM BRAK FORMY

„Literat — Leon". Z prawdziwą przykrością, ale muszę Panu zakomunikować, że jego utwory — zawiodły! Brak w nich zupełnie formy! Proszę dużo czytać, dużo studiować wierszy, pisać i... drzeć! Oczywiście, to ostatnie tylko do pewnego czasu, bo później można wierszyki już drukować. Z nadzieją, że tak będzie, ślę Panu serdeczne pozdrowienia. Życzenia imieninowe poleciłem zamieścić i... chyba P. Wisia nie będzie miała do mnie żalu, że je otrzyma trochę późno?...

DZIĘKUJĘ!

„Uran". To ja właściwie powinienem nazwać Pana — „dobrym". Subtelność bowiem, z jaką Pan do mnie podchodzi, jest chwilami zdumiewająca i chwytająca za serce. Dziękuję Panu za nią!

Załączone do listu wierszyki nie sprawiły mi tym razem specjalnego zadowolenia. Są zbyt rozwlekłe i banalne. Chwilami porywają, a chwilami rażą. Poza tym radzę Panu unikać patetycznych zwrotów, w rodzaju: „złożę ci ślub łzami słonecznej wierności", „tyś mi, aniele, lazurem cudu anielskich szat", „dumaniem gwiezdnym trwam w tej nocy serc pragnienia"... itd. Jak najwięcej prostoty, „Uranie", a zwyciężysz trudności!

NIE RADZĘ...

„Ferdy". Owszem, rękopisy zostały zlikwidowane. Tak samo ostatnio nadesłany. Nie radzę jednak Panu przejmować się tym faktem, bo jest on zwykłą koleją rzeczy u każdego początkującego nowelisty. Chodzi tylko o to, aby nie poddał się Pan zniechęceniu, gdyż z tą chwilą droga do osiągnięcia celu, zostanie dla Pana zamknięta. Proszę przyjąć ode mnie miły uścisk dłoni!

UFAM...

„Ka - Pe". Mylne są wnioski Pana, przy ocenie wierszy nie wchodzą w grę żadne uczucia sympatii, tylko jedynie wartości danych utworów. Proszę zatem przesłać mi spokojnie swoje rękopisy, abym je mógł przejrzeć i ewentl. zakwalifikować do druku. Styl listu Pana jest bardzo piękny, ufam, więc, że nowele Pana będą posiadały również piękną formę. Dziękuję za pozdrowienia i w pełni je odwzajemniam!

nergii i wytrwałości, lecz zastanawiam się nad tym, czy, jeżeli trudności będą w dalszym ciągu wzrastały, damy sobie radę... Przechodzimy teraz od miesiąca ostry kryzys; o ile zakończymy go zwycięstwem, przyszłość cesarstwa meksykańskiego będzie zapewniona, jeśli zaś stanie się przeciwnie, nie wiem, co z tego wyniknie. Przez pierwszych sześć miesięcy wszyscy byli zachwyceni nowymi rządami, teraz gdy się do czegoś zabrać, rozpocząć jakąś pracę — wszyscy przeklinają nas. Walczymy z biernością, która nie pozwala się zdetronizować... Mniej było z pewnością trudności przy wznoszeniu piramid egipskich, niż my spotykamy pzy zwalczaniu bierności i niechęci meksykańskiej"...

W tym samym czasie Maksymilian pisał do Wiednia: „Żyjemy tu w kraju wolności, pośród wolnego ludu, przesiąkniętego tak postępowymi zasadami, jakie trudno sobie wyobrazić w Austrii. Nie czuję się już tu spętanym, gdyż w tym kraju każdy człowiek ma prawo wygłaszać swe zdanie i dążyć swobodnie ku swemu ideałowi. Być może, iż Meksyk jest opóźniony pod pewnymi względami, zwłaszcza, jeśli chodzi o bogactwo i rozwój materialny pod względem jednak kwestii społecznych wyprzedza o wiele Europę, a w szczególności Austrię. Mamy tu prawdziwą demokrację, wolną od szaleństw i absurdów, które przeważają w Europie. Zresztą pojęcie, jakie wytworzyła sobie Europa o Meksyku jest poniekąd błędne; Europejczycy nie mogą i nie chcą uprzytomnić sobie prawdziwych warunków tutejszej egzystencji. Europejczycy są zbyt dumni na to, by uznać, iż my, Amerykanie, przewyższamy ich znacznie pod wielu względami".

Na zebraniach, urządzanych na dworze wiedeńskim, arcyksiążęta z uśmiechem mówią o szczęśliwym losie Maksymiliana i o krótkowzroczności Franciszka Józefa, który nie przewidział dobrych stron sprawy meksykańskiej.

Gęsty mrok otulał powoli czarodziejski widok, otwierający się z tarasu. Cesarzowa Karolina rozmawiała półgłosem ze swym małżonkiem; w pobliżu damy dworu szczebiotały z barwnymi papugami; zębaty grzbiet górski ginął w dali. Noc niosła jakiś tajemniczy niepokój.

Wybiła późna godzina na pięknym zegarze z muszli, wiszącym nad fotelem, na którym cesarz siedział z przymkniętymi oczami, rozmyślając o troskach panowania. Karolina, patrząc w nieprzeniknioną noc, myślała o lekkomyślnym kroku generała Bazaine, który zapaławszy miłością do 17-letniej Meksykanki, pojął ją za żonę, myślała o swym cesarstwie, a w głębi duszy tęskniła do krajobrazów Brabancji, do kraju, gdzie spędziła dzieciństwo.

IX.

Czas szybko uciekał w państwie Meksyku. Karolina zrealizowała wreszcie swe marzenia o wielkości cesarzowej tego niezwykłego Eldorado. Lecz poza entuzjazmem i uniesieniem, poza paradami i rewiami, poza panującym tu kadzidłem odśpiewywanych „Te Deum", poza arystokratycznymi kawalkadami w nabijanym złotem meksykańskim siodle, kryło się mnóstwo przykrych stron panowania.

Drugi rok rządów przyniósł wiele trudności, ciężarów, nowych spraw, trosk o finanse państwa, reklamacje biskupów, błędy Bazaine'a, niezaspokojone żądania magnatów hiszpańskich.

Karolina wspomina często przeszłość, tych kilka pięknych miesięcy, które przeżyła na obcej ziemi, rozmyśla o entuzjastycznych powitaniach, o podróży na północ, o smutnych oczach Indian, o zabawach ludowych, urządzanych w dniu Wszystkich Świętych, kiedy to całe wsie tańczą, śpiewają, radują się i piją wśród ekstatycznych krzyków małych dzieci indyjskich, bawiących się trupimi czaszkami z cukru.

Trudności wciąż się mnożą. Cesarzowa z niepokojem patrzy na Maksymiliana, w smutnym zamyśleniu, spoglądającego wieczorami w dal z tarasu pałacu w Chapultepec. Karolina nie ma odwagi przerwać ponurego milczenia. Wie dobrze o tym, iż jej mąż dręczy się nieustannie i niepokoi sprawami państwa. Ach tak, są szczęśliwi, bez wątpienia... lecz dotychczas nie mają potomstwa; Meksyk, który zamierzano pacyfikować w ciągu kilku tygodni jest wciąż wstrząsany zawziętymi walkami Juareża — kilka dni temu w górach, o parę kilometrów od stolicy miała miejsce krwawa utarczka; drogi są osaczone; tajemny lęk ściska serca; stare legendy indyjskie o gniewie wzgardzonych bogów, o okrutnych męczarniach, o zemście czarowników, zatruwających swe ofiary nieznanymi jadami, wsączają w dusze ludzkie ciche szaleństwo lub demoniczne opętanie, oblegają podniecona wyobraźnię.

Jakże dalekie wydają się przywileje starych dynastii europejskich, powołujących się na prawa pomazańców bożych i ich świętego posłannictwa. Bezwzględność Franciszka Józefa, u którego poczucie etykiety zastąpiło inteligencję, nie byłaby do pomyślenia w Meksyku. Ironiczny uśmiech wypływa na usta Maksymiliana na wspomnienie ciasnych poglądów swego brata, który uważa monarchię austriacko-węgierską za swoje lenno, a wszystkich arcyksiążąt za członków swej rodziny, winnych mu ślepe posłuszeństwo i obowiązanych do wysłuchiwania pompatycznych przemówień o jego państwie i jego ludziach.

Maksymilian mógłby może narzucić cesarstwu meksykańskiemu stare zasady, którymi się powodują schorzałe państwa europejskie. Powołany pzez konserwatystów, mógłby kontynuować niecną grę swych poprzedników, a w walce przeciw Juarezowi i jego liberalnym ideom, oprzeć się wyłącznie na klerze, na obszarnikach i na armii francuskiej. To byłoby zgodne z habsburską koncepcją o władzy, lecz Maksymilian i Karolina są prawdziwymi liberałami. Widzieli oni, jak trony starej Europy waliły się pod ciosami rewolucji 1848 r. i zdają sobie doskonale sprawę, iż samowładne idee świętego przymierza zgubiły królów; trony są spróchniałe, potęga dynastii została podkopana pzez zaślepienie tych, którzy nie widzą, iż należy zmienić formę rządów i przystosować ją do wymagań epoki.

A poza tym nie rządzi się tylko po to, aby panować; nie panuje się po to, by eksploatować i ciemiężyć poddanych; panowanie nowego cesarza nie powinno być dalszym ciągiem eksploatacji, bezwstydnie uprawianej przez 62 wicekrólów hiszpańskich, którzy wyciskali z Meksyku ostatnią kroplę krwi i wykorzystywali go jedynie dla interesów swej metropolii.

Hańba niecnym suwerenom, hańba władcom, którzy budują swą potęgę na nędzy narodu! Lepiej zrzec się władzy, niż sromotnie panować i tuczyć się ludzką nędzą.

Maksymilian i Karolina będą pierwszymi monarchami - socjalistami!

Gdy przybyli do Meksyku, dwie głębokie rany, zadane przez kler i obszarników, powodowały powolny rozkład tego pięknego, lecz już chylącego się ku ruinie, kraju. Ruch wolnościowy indyjski, zapoczątkowany przez Juareza, skierowany był przede wszystkim przeciw tym konserwatywnym potęgom. I oto zachodzi niesłychany w dziejach fakt, nowy cesarz występuje w niezwykłej roli, bowiem powołany na tron przez potężnych konserwatystów, by zwalczać nowe prądy, usiłuje popierać właśnie te prądy, by przez nie umocnić swą władzę. Wkrótce znajduje się między młotem i kowadłem. Dla liberalnych republikanów i dla Juareza zostanie zawsze cesarzem przybyłym z Europy pod ochroną bagnetów francuskich, dla kleru zaś i obszarników, metysów i wyzyskiwaczy będzie monarchą, który zdradził swą misję dla idei rewolucyjnych, przeciw jakim powinien był walczyć.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

7)

BOGDAN LEKSZYCKI

TAJEMNICA INŻ. SOMMERSONNE'A

Myśl o własnej bezsilności tak go przygnębiła, że fuknąwszy parę razy na Agnieszkę, która koniecznie chciała go nakarmić, odwrócił się od ściany i zasnął.

Nazajutrz obudził się równo ze świtem. Przeciągnął się, aż stawy zatrzeszczały w rękach, poczem spuścił nogi z łóżka i począł się szybko ubierać.

Czuł się zdrów i silny, a przytem pełen życia i werwy. Choroba, wywołana zatruciem gazem, zniknęła bez śladu, a wczorajsze przygnębienie pierzchło. Weźmie się za bary z przeciwnościami i zwycięży. Zwycięży! Furda Sławicz! W rezultacie nie będzie przecież występował przeciw niemu, więc czym się tu przejmować? Wszak świat już wie, że to on właśnie, a nikt inny zdobył zasadnicze podstawy do dalszego śledztwa... Zgłosi się do biura i powie, że chory. Musi wykorzystać swój urlop w całości! Dwa tygodnie... Boże Wielki. Przez ten czas można zrobić dużo, bardzo dużo...

Nie budząc Agnieszki, która spała w fotelu w pozycji rzuconej niedbale lalki, wybiegł z mansardy i zeszedł ze stromych schodów, wybijając takt pięścią po poręczy. Brama była już otwarta, a stary dozorca, jak zwykle o tej porze, przygotowywał sobie kawę w swej norze pod schodami.

Po „kocich łbach" ulicy toczyły się wózki mleczarzy i straganiarek, dążących na targ; od śródmieścia pędził z turkotem jednokonny furgon piekarza; dozorcy zamiatali jezdnię; w oddali na słupie ogłoszeniowym dwóch wyrostków rozklejało plakaty...

Czerwicki ogarnął to wszystko jednym rzutem oka i poweselał jeszcze więcej.

Życie, ruch, rodzinne miasto... Młode i jednocześnie stare wspomnienia, które rankiem, o świtaniu, budziły się gdzieś zawsze w głębi jego świadomości.

Trochę rozczulony, a trochę nastrojony refleksyjnie, zbliżał się wolnym krokiem do świeżo naklejonego plakatu, koło którego zaczęli się gromadzić nieliczni przechodnie: młody robotnik w niebieskiej bluzie i z bańką pod pachą, senny trochę policjant, stary Żyd w zatłuszczonym chałacie, dziewczyna ze zmarszczkami, źle ukrytymi pod warstwą pudru i szminki, niemłoda robotnica o żółtej cerze i w połatanej chuścinie, beznogi żebrak o kuli...

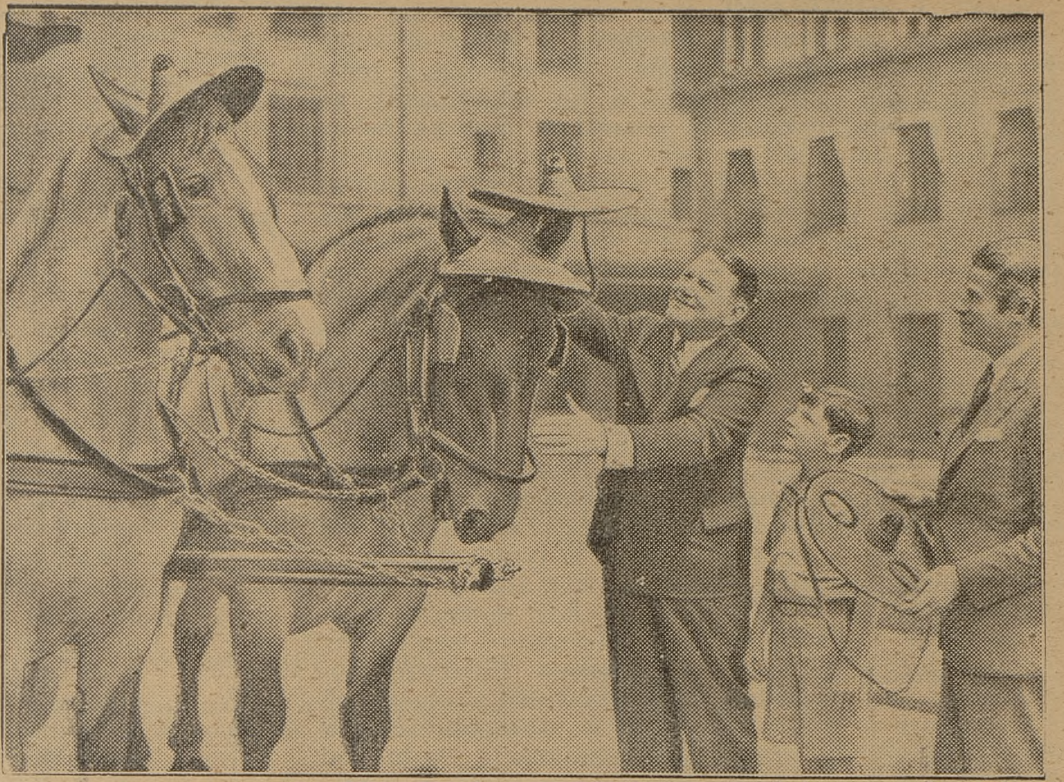
Czerwicki zatrzymał się także i w miarę jak czytał, oczy jego poczęły się rozszerzać coraz więcej i błyszczeć.

10.000 złotych nagrody

1) 11 bm. w nocy okradziona została kasa inżyniera Zbigniewa Kulickiego w jego willi przy ul. Piłsudskiego w Sosnowcu, przyczem skradziono wartościowe plany i modele wynalazków, 30.000 zł. w gotówce, oraz klejnoty, wartości około 45000 zł.

2) 12 bm. około godz. 11 w południe ograbiono kasę jubilera Izaaka Rosenberga w jego magazynie przy ul. Modrzejowskiej w Sosnowcu, a ofiarą rabusia padła znaczna ilość weksli na wielką sumę, gotówka i biżuteria, ogólnej wartości z górą 500000 złotych.

3) Tegoż dnia około godz. 17 obrabowana została kasa dyrektora inż. Norberta Wareckiego w jego willi przy ul. Żeromskiego w Sosnowcu. Skradziono gotówkę w dolarach i funtach szterlingach, oraz brylanty na ogólną sumę 1.900.000 złotych.



W Danii zaprowadzono słomiane kapelusze dla koni, jako ochronę przed zbyt palącymi promieniami słońca. Kapelusze te są koloru czerwonego, gdyż zielone lub żółte konie zjadały ze smakiem.

4) 14 bm. około godz. 14 okradziono kasę agenta handlowego Hipolita Kunza w mieszkaniu jego przy ul. Narutowicza w Sosnowcu. Skradziono 3400 zł., 19000 franków szwajcarskich, oraz 10 sztabek platyny, ogólnej wartości ponad 200000 zł.

5) 15 bm. około godz. 16 zrabowano z kasy agenta handlowego, Wiktora Jabłowicza, zamieszkałego przy ul. Nowopogańskiej w Sosnowcu, kilkanaście kilogramów złotych i srebrnych monet, wartości ok. 800000 zł.

6) 19 bm. około godz. 21,30 dokonano morderstwa na osobie Emila Marczyka, oraz na osobie Juliana Staszowskiego, zamieszkałych przy ul. 3-go Maja w Sosnowcu.

Wszystkie te rabunki, oraz podwójne morderstwo dokonane zostały przez Paulinę Staszowską, zwaną popularnie Straszliwym Trupem, jak wykazało śledztwo z poduszczenia inżyniera Henryka Sommersonna, urodzonego 7. 3. 1889 roku w Bytomiu, niewiadomego miejsca zamieszkania.

(Tu następowały dokładne rysopisy Sommersonna i Staszowskiej.)

Ktokolwiek poda któremukolwiek z organów P. P. wiadomość o miejscu pobytu, względnie przyczyni się do ustalenia miejsca pobytu wymienionych wyżej osobników, otrzyma nagrodę w kwocie 10000 złotych, wyznaczoną przez Min. Sprawiedliwości.

Powiatowa Komenda Policji Państwowej w Będzinie.

XXIII.

DYMISJA

— Nieźle obłowił się ten Sommersonne... — medytował Czerwicki, siedząc na ławce skweru przy ul. Piłsudskiego. — Z górą trzy miliony złociszów! Są jeszcze bogaci ludzie w naszym Kominogrodzie... Oczywiście tacy, którym „pecunia non olet".

Spojrzał na zegarek i powstał.

— Czas na mnie! — mruknął. — Muszę zdobyć te dziesięć tysięcy! Do diabła, przecież to stumiesięczna moja pensja! Sto miesięcy nie potrzebowałbym pracować w biurze! Z górą 8 lat... Gra warta świeczki, choćby tylko z tego względu..

Ruszył szparko w stronę biura.

— Cała rzecz — sumował dalej — sprowadza się do tego, by wyśledzić, gdzie mieszka Sommersonne... Bagatelka! Szukaj szpilki w stogu siana... W żadnym hotelu nie, to fakt, bo policja ma je stale na oku... W melinach także nie, choćby ze względu na Straszliwego Trupa, na konieczność utrzymania w tajemnicy, kim jest właściwie ta obrzydła zjawa, bo twierdzenie policji, że to Paulina Staszowska, ma tylko na celu zapobieżenie panice, jaka może wybuchnąć w mieście lada moment... Żyje się, jak w czasie stanu oblężenia, lub jak u stóp wulkanu, który nagle wznowił swą działalność...

Zapalił papierosa i mocno zaciągnął się; monologował półgłosem:

— Ale gdzie się ukrywa? U któregoś z przyjaciół? Nie, to wykluczone: taki człowiek, jak Sommersonne, sparzywszy się raz na ludzkiej przyjaźni, drugi raz nie ryzykuje. A więc gdzie? Podziemia „Wielkiej Ręki" są ponad wszelką wątpliwość zupełnie niedostępne, skoro nawet Sławicz...

Urwał i zamyślił się.

— Kto wie zresztą?... — szepnął po chwili — Sławicz nigdy nie zwykł zdradzać się przed czasem, nie wytykając palcem, jak tu obecny pan Jan Czerwicki herbu Pobóg, który właściwie powinien pieczętować się Trąbą, bo na to w zupełności zasługuje... Ale gdzie, gdzie? Oszaleć można! Słuchajno Janek, pomyśl trochę: jesteś Sommersonnem, pragniesz zemścić się na łajdakach - kolegach i jednocześnie nieco nielegalnie odebrać swoją własność; masz na swoje usługi kilka ciekawych wynalazków, masz przypuszczalnie wiernego służącego, no i Straszliwego Trupa albo imitującego byłą służącą, albo imitowanego przez ową służącą... Co ci wówczas potrzeba? Zdaje się, że przede wszystkim pewnego schronienia, znajdującego się jak najbliżej „areny", na której masz działać. Za pewne schronienie uważam: 1) niezamieszkałe przez nikogo, by nie trzeba wystrzegać się podpatrywania, 2) niezwracające uwagi, a więc dobrze wszystkim znane jako opuszczone i niemożliwe do zamieszkania ,3) posiadające wejście tak ukryte wśród zakamarków, by nikt nie mógł widzieć, gdy się doń wchodzi. Gdzie można znaleźć takie schronienie w

Sosnowcu, gdzie nie ma starych ruder, dawniej zamieszkałych? Odpowiedź możesz dać sobie tylko jedną Janku, a mianowicie: któraś z całkowicie, lub częściowo nieczynnych kopalń, lub fabryk, a nawet lepiej: częściowo nieczynnych, takie bowiem obiekty nie są bezkarnie o każdej porze odwiedzane przez włóczęgów i złodziejaszków pomniejszego autorytamentu. Przeszukaj na wpół nieczynne warsztaty pracy w Sosnowcu, a odnajdziesz kryjówkę inżyniera Sommersonna.

Wchodził do biura, zdecydowany żądać utrzymania w mocy swego urlopu. Zaraz tego samego dnia postanowił zacząć wędrówkę po kopalniach i fabrykach. Jeżeli mam uprzedzić Sławicza — rozumował — nie wolno mi tracić ani chwili czasu!

W sali biurowej, gdzie pracował, natknął się przy drzwiach na swoje vis à vis po przeciwnej stronie kantorowego stołu, sympatycznego Pawła Kacperka, równie jak i on wynagradzanego miesięcznie stuzłotówką.

— Pan tu? — zdziwił się kolega.

— A tu! Dostałem wezwanie, by natychmiast stawić się do pracy.

— Doprawdy? To rzeczywiście ciekawe, bo — tu nachylił się do ucha Czerwickiego — cofnęli nam szereg zamówień i zbijamy teraz bąki... Myślę, że na pierwszego możemy spodziewać się redukcji, a co najmniej obniżki płac.

— Tak, to ciekawe... — szepnął Jan. — każdym razie pójdę do zastępcy, by dowiedzieć się, co to ma znaczyć...

— Iii... lepiej nie... — odszepnął Kacperek. — Mogło by się to odbić na panu. Pan wie, jakie to dzisiaj czasy. Pomiatają nami, bo wiedzą, że na miejscu każdego z nas przyjdzie dziesięciu innych...

— Ależ człowieku, ja nie mogę teraz pracować, ja jestem chory! — wybuchnął Jan.

— No, w tym wypadku jest pan kryty...

Mówił coś jeszcze, ale Czerwicki nie słyszał nic z tego, spostrzegł bowiem woźnego i polecił mu, by zameldował go u zastępcy naczelnego dyrektora.

Wbrew przypuszczeniom Jana, nieprzystępny zazwyczaj dygnitarz poprosił go do siebie natychmiast.

— Ach, jest pan już, to dobrze... — rzekł wesoło, wyciągając do niego rękę po raz pierwszy w życiu.

— Jestem, panie dyrektorze... — odparł Czerwicki z ukłonem. — Chciałbym jednak prosić o łaskawe pozwolenie korzystania w dalszym ciągu z urlopu, jestem bowiem chory; dopiero dziś rano opuściłem łóżko i to jedynie na kategoryczne, listowne polecenie...

— Wiem, wiem o tym, panie Czerwicki... — rzekł wolno dygnitarz, uśmiechając się ze źle ukrytym grymasem. — Tak się jednak złożyło, że lada godzina możemy pana potrzebować.

Nastąpił wymowny ruch ręką, oznaczający, że audiencja skończona.

Ale Jan nie dał za wygraną.

— Jednakże bardzo bym prosił pana dyrektora...

Twarz zastępcy poczerwieniała jak piwonia.

— Dosyć, panie Czerwicki! — huknął pięścią w stół. — Nie zmieniam raz powziętych postanowień. Wróci pan natychmiast, słyszy pan, natychmiast do pracy,



Podczas kanikuły młodzież sporządza sobie z pęków trzciny coś w rodzaju łodzi i stacza walki w chłodnym żywiole.

albo...

Zatchnął się z niezrozumiałej z razu dla Jana pasji.

— Albo?... — rzucił wyzywająco Czerwicki.

— Albo otrzyma pan natychmiastową dymisję!

— Wybieram wobec tego dymisję.

— Co takiego?...

Dygnitarz z purpurowego stał się kredowo blady.

Zastępca uspokoił się momentalnie, co niby błyskawica oświeciło Czerwickiego, że na dnie owego nagłego wezwania do pracy kryje się coś poważniejszego.

XXIV.

SPRAWA KOMPLIKUJE SIĘ...

— Czy pan zastanowił się nad tym, co tu wygaduje? — zaczął dygnitarz tonem łagodnej perswazji. — W dzisiejszych czasach nie rzuca się tak lekkomyślnie chleba dla jakichś faramuszek. Jeżeli pan rzeczywiście jest chory, to mógłbym ewentualnie zwolnić pana jeszcze na parę dni, tylko na parę dni, — podkreślił z nieszczerym uśmiechem — ale...

Długa pauza, w czasie której Jan nie przerywał milczenia, wiedział już bowiem doskonale, do czego zmierza zwierzchnik.

— ...ale musiałby mi pan dać słowo, że zaniecha tego niepoważnego kompromitowania się robieniem konkurencji policji. Koncern nasz uważa — przyzna pan — nie bez słuszności, że urzędnicy powinni zajmować się pracą dla dobra firmy, a nie tropieniem jakichś groteskowych przestępców, którzy prawdopodobnie okażą się sprytnymi mistyfikatorami, śmiejącymi się w kułak z naiwności społeczeństwa...

Czerwicki zagryzł do krwi wargi, by nie wybuchnąć śmiechem.

Dygnitarz spostrzegł to.

— Wesoło panu jakoś, panie Czerwicki... — rzekł z przekąsem. — Doprawdy nie pojmuję, jak można tak lekko brać życie...

— Przeciwnie — odparł ze śmiechem Jan — biorę je bardzo poważnie: zamierzam ubiegać się o nagrodę 10.000 złotych, jaką wyznaczyło ministerstwo sprawiedliwości za ujęcie inżyniera Sommersonna.

— Wyznaczyli nagrodę?! — krzyknął z wyraźnym przerażeniem dygnitarz. — Kiedy! Nic o tym nie wiem.

— Nic dziwnego, bo obwieszczenie rozklejono dopiero dziś rano, a zresztą z okien swego Rolls-Royce'a nie mógł pan dyrektor widzieć, co dzieje się na zabłoconej ulicy.

Zastępca spojrzał uważnie w twarz Czerwickiego.

— Stał się pan bardzo agresywny ostatnio... — wycedził zwolna i dodał po chwili: — A zatem daję panu tydzień urlopu z tym zastrzeżeniem, które już uczyniłem...

— Bez tego zastrzeżenia, panie dyrektorze.

— A zatem żąda pan dymisji?!

— Nie, zmuszony jestem ją przyjąć, o ile dyrekcja zaczyna wglądać w moje życie prywatne.

— Niech pan się lepiej zastanowi. Wykryliśmy w naszych biurach pewne, powiedzmy, niedokładności. Sądzę, że bezpieczniej będzie dla pana pozostać na miejscu, by móc od razu odeprzeć ewentualne zarzuty.

— Odpieram je z góry jako szantaż, jako ostateczną próbę sterroryzowania mnie, bym zrezygnował ze śledztwa w sprawie inżyniera Sommersonna. Oświadczam panu zatem, że uczynię wszystko w miarę sił moich i możności, by sprawę tę jak najwszechstronniej wyświetlić i tym samym oczyścić naszą zatrutą atmosferę z podobnych „jaskiń zbójców" jak sławetny koncern, w którym miałem wątpliwy zaszczyt do ostatnich dni pracować. Bardzo będę rad, jeżeli pan zechce to dobrze zapamiętać, panie dyrektorze.

Dygnitarz powstał zwolna zza biurka. Ruch ten miał w sobie coś kociego.

— Pan zdaje się zbyt wiele wiedzieć, panie Czerwicki! — rzekł głosem, podob-

nym do syku. — Ja ze swej strony bardzo będę rad, jeżeli pan zechce to dobrze zapamiętać, że wdaję się samochcąc w niebezpieczną grę, w bardzo niebezpieczną grę!

— Wiem o tym i dlatego myślę, że inżynier Sommersonne, stając jako przeciwnik do tej gry, jak to pan określa, nie wyczerpał jeszcze swego repertuaru...

— Co pan ma na myśli, do diabła?

— Przypuszczenie, a może i pewność, że Sommersonne po rozrachunkach z Kulickim, Wareckim et consortes, zabierze się z kolei do ich popleczników...

Twarz dygnitarza zzieleniała, zaraz jednak opanował się.

— To mnie już nie obchodzi, panie Czerwicki... — rzekł z trudem, siadając na powrót w fotelu. — A teraz żegnam pana, niech pan czyni, co mu się żywnie podoba.

Jan z lekkim ukłonem opuścił gabinet, bynajmniej nie zbity z tropu. Wyszedł z gmachu biura i skierował kroki w stronę swojej mansardy.

— Jedno jest pewne: Sommersonne ma ich wszystkich w ręku — mruczał — i dlatego za wszelką cenę pragnął, by pozostał on nieuchwytny, uwięziony bowiem mógłby wiele rzeczy wydać, a wtedy los jego wrogów byłby przesądzony... Dziwna sytuacja: z jednej strony Sommersonne ze swoim Straszliwym Trupem, niemający oczywiście zamiaru dać się zdemaskować; z drugiej cała banda łajdaków, która rada by unieszkodliwić go, a skoro to, jak widać, okazało się niemożliwe, poruszająca wszystkie sprężyny, byle pozostał nieuchwytny; z trzeciej policja ze swoją nagrodą i legionem żądnych zdobycia dziesięciu tysięcy; z czwartej Sławicz ze swymi zamożnymi zwolennikami, pragnącymi pochwycenia Sommersonna; z piątej — ja, mający podwójne żądanie: wykryć Sommersonna i zdobyć nagrodę, oraz zdemaskować bandę jego wrogów... Przy tym wszystkim gra rolę nie tylko fakt, kto zwycięży, ale przede wszystkim, kto zdoła uprzedzić innych... Dla Sławicza to tylko emocja i opinia detektywa; dla mnie prócz tego Irena i 10.000 zł; dla policji punkt honoru i obowiązek; dla Sommersonna i jego wrogów — przyszłość, bezpieczeństwo, byt, całe życie...

Wstępując po stromych schodach kamienicy, w której mieszkał, kończył swoje rozważania.

— Policja, Sławicz i ci wszyscy o nagrodę, to tylko moi współzawodnicy. W razie wolnej rozgrywki będę ich miał nie przeciw sobie, a za sobą. Przeciwko sobie mam teraz jedną bandę wrogów Sommersonna, która nie będzie przebierała w środkach w walce o dojście do celu. I samego Sommersonna. Kto jest groźniejszym przeciwnikiem, doprawdy trudno mi przewidzieć...

Na koślawym stole w mansardzie znalazł kartkę, zapisaną ołówkiem:

„Panie Janku! Poszłam do pracy. Może Pan wstąpi wieczorkiem?... Agnieszka".

— Agnieszka, Agnieszka... — mruczał. — Piękne imię, choć dawniej tak pospolite... Będę ją nazywał Jagienką. Ona jest jednak ładna, a jakie ma śliczne nóżki... Wtedy gdy spała w fotelu...

Roześmiał się.

— Kocham Irenę, a myślę o Jagience: oczywista zdrada!

Oczy jego zwęziły się nagle.



Aparat radiowy-telewizyjny staje się coraz bardziej popularny.

Na stole, obok kartki od dziewczyny, leżała gazeta, świeży numer „Nowin", cuchnący jeszcze farbą drukarską. Na pierwszej stronie, jak zwykle, gdy chodziło o szlagier, czerwienił się wielki tytuł:

„Ryszard Sławicz przybywa"!

Jan jednym tchem przeczytał treść notatki, wybitej grubym drukiem:

„Od słynnego detektywa Ryszarda Sławicza, w odpowiedzi na apel, zamieszczony we wczorajszym numerze naszego pisma przez grono najbardziej szanowanych obywateli Sosnowca, otrzymaliśmy następującą depeszę:

„Przybywam 24. b.m., będę na premierze Horsztyńskiego. Sławicz".

A więc apel nie pozostał bez skutku. Ktokolwiek pragnie ujrzeć naszego słynnego detektywa, niechaj jutro wieczorem przybędzie do Teatru Miejskiego.

W związku z przyjazdem głośnego kryminologa społeczeństwo nasze odetchnie z ulgą, przyjazd jego bowiem równa się wypowiedzeniu bezwzględnej walki Straszliwemu Trupowi".

XXV.

ZAGADKOWY PLAN

— Cóż, u diabła — wykrzyknął Czerwicki — czy Sławicz koniecznie chce być na oczach wszystkich?! Nie, to do niego niepodobne, raczej... Tak, raczej pragnie na krótki czas przenieść punkt ciężkości całej sprawy w tłum, wywlec ją z mroków i może rozwiązać za jednym zamachem.... Czyżby spodziewał się ,że uda mu się zwabić w pułapkę Sommersonna? A może wie już o skonsolidowaniu wrogów inżyniera i zamierza prowadzić do jawnej rozgrywki? Coś w tym jest...

Jan czuł, że decydujące wypadki zbliżają się w coraz szybszym tempie. Powietrze naładowane było elektrycznością jak przed wielką burzą. I nagle zdał sobie sprawę, że lęka się, że ogarnia go niewytłumaczona, zabobonna niemal trwoga...

Usłyszał jakieś chrobotanie za drzwiami i wypadł na korytarz.

Po stromych schodach schodził w dół stary żebrak, postępując z utrudzeniem. Na skrzyp otwieranych drzwi uniósł do góry siwą głowę i Czerwicki zobaczył pomarszczoną twarz, pokrytą grubymi kroplami potu.

Wracając do mansardy, zauważył, że do jego drzwi przybita jest pineską niewielka, żółta koperta.

Oderwał ją i rozdarł.

Zawierała strzępek papieru pakunkowego, na którym nagryzmolił ktoś miękkim ołówkiem rysunkowym:

„Grozi Panu dziś wielkie niebezpieczeństwo. Niech Pan ma się na baczności. — Życzliwy".

Czerwicki obrócił w rękach list, potem obejrzał kopertę, która nie była zaadresowana, wreszcie lotem strzały zbiegł ze schodów.

Ale choć wszystkie te czynności zajęły mu nie więcej, niż dwie minuty, żebraka nie było już nigdzie, ani na podwórzu, ani na ulicy.

Jan wrócił do mansardy ze zmarszczonymi brwiami.

— Czy to mistyfikacja, czy też rzeczywiście życzliwe ostrzeżenie?...

Raz jeszcze obejrzał list. Pismo, wybitnie brzydkie, zdradzało jednak rękę, która pisze bardzo wiele. Samo przez się nic nie mówiło: nie znał go. „Życzliwy" był zatem człowiekiem zupełnie obcym. Skąd grozi mu niebezpieczeństwo? Z czyich rąk? Ze strony Sommersonna? Nie, na pewno nie! A więc ze strony mafii popleczników uwięzionych szubrawców... Nie mogąc zmusić go do uległości ani cofnięciem urlopu, ani dymisją, ani nawet szantażem, chcą widocznie unieszkodliwić go w inny sposób. Kim jest „życzliwy"? Czy to Sławicz? Wątpliwe. A chyba nie Sommersonne... Może ktoś, znający plany mafii, a niezainteresowany w nich... Tak, czy owak nie zlekceważy ostrzeżenia, o nie! Czyż nie odczuwał przed chwilą uczucia bardzo podobnego do strachu? Prócz tajemniczego przyjaciela ostrzegał go jeszcze instynkt samozachowawczy, który rzadko się mylił.

Czerwicki podszedł do drzwi i przekręcił klucz w zamku, poczem wyjrzał ostrożnie oknem.

Na chodniku po drugiej stronie ulicy przechadzał się z papierosem w zębach jakiś osobnik, wyglądający na ubranego odświętnie rzemieślnika. Czerwona twarz i napuchnięty nos zdradzał alkoholika. Osobnik ten co jakiś czas przystawał i pod pozorem poprawiania węzła jaskrawego krawata, zadzierał głowę do góry i spoglądał w okno mansardy. Pozatem nie spuszczał z oczu bramy domu, która, jak to niewątpliwie wiedział, była jedynym wyjściem z kamienicy.

— Acha, śledzi mnie... — szepnął Jan, odchodząc od okna. — Jak widzę, informator mój nie skłamał. Zdaje mi się ,że trzeba będzie po raz pierwszy uciec się do magazynu...

„Magazynem" Czerwickiego była stara szafa, w której od paru lat przechowywał znoszone ubrania i podarte trzewiki. Przy skromnym jego uposażeniu nie było rzeczą dziwną, że starzyzny tej posiadał niewiele, a ta, którą posiadał, znajdowała się w takim stanie, że prawdopodobnie nie kupiłby jej żaden handlarz domokrążny. Dla jego celów garderoba ta była jednak zupełnie wystarczająca.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

RAJ KOBIET

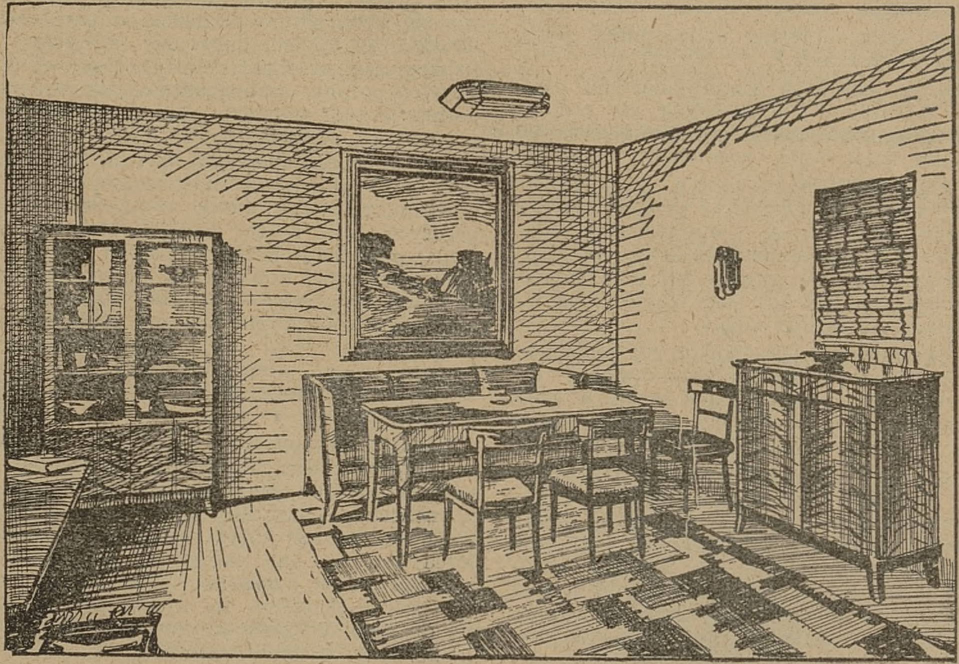
Jak urządzić mieszkanie

Wynajmujemy pusty pokój — przestrzeń zamknięta czterema ścianami, podłogą i sufitem. Przestrzeń pusta. Głównym celem będzie nadanie jej pełnego efektu w postaci odpowiedniego przeprowadzenia remontu oraz sposobu rozmieszczenia mebli.

Pierwszą sprawą w tym wypadku będzie ozdobienie ścian. Mamy tu przed sobą dwie możliwości: wykleić ściany tapetą, czy też kazać malować je ręcznie. I jeden i drugi sposób jest dobry, jakkolwiek często słyszy się zdanie, że ze względów praktycznych odpowiedniejsze jest tapetowanie, jako tańsze. — Zaznaczyć tu muszę, że mało ludzi zdaje sobie sprawę z doniosłości przystosowania barw ścian do rodzaju pokoju. Ściany nadają nastrój całej przestrzeni naszego mieszkania. W zależności od koloru, w jakim są utrzymane, mieszkanie nasze ma wyraz sztywny, ciepły, ponury czy miły i swobodny. Wybór kolorów jednolitych lub deseniowych, barwnych — o tym zadecyduje. Tak naprzykład: barwy o tonach jasnych, pastelowych dają złudzenie pokoju obszernego, pogodnego. Kolor niebieski we wszystkich odcieniach — ma w sobie coś chłodnego, natomiast różowy daje pełne wrażenie ciepła i przytulności. Barwa zielona działa bardzo uspakająco i jest idealnym zastosowaniem do pokoju, przeznaczonego do pracy. Białe tło, z rzuconym na nim barwnym deseniem, najbardziej odpowiada do pokoju o niewielkich rozmiarach — lecz i duży pokój bardzo ożywia.

Przechodzimy do drzwi; zasadniczo służą one do oddzielenia jednego pokoju od drugiego. Specjalne akcentowanie ich kolorem kontrastującym ze ścianami jest nieodpowiednie. Drzwi winne być utrzymane w tonie ścian. To samo dotyczy kaloryferów i tych wszystkich części, które są przytwierdzone do ścian.

Podłoga? Najidealniejszą jest oczywiście parkiet, jednakże zwykła z desek — jaką spotyka się najczęściej — nie popsuje dobrego wrażenia mieszkania, jeżeli będzie należycie utrzymana. Podłogę zniszczoną można pokryć linoleum, a mieszkanie zyska na wyglądzie. Naturalnie pokrycie podłogi dywanami będzie najlepszym rozwiązaniem. Dywany nadają mieszkaniu jakiś specyficzny, ciepły urok — czy to będą dywany skromne, krajowego wyrobu, czy wspaniałe i drogie wschodnie; lecz pełne piękno osiągniemy tylko wtedy, gdy kolor i motywy dywanu dostosowujemy do ścian — lub odwrotnie. Jednokolorowe dywany, są w



Dobrze urządzone nowoczesne wnętrze.

użyciu bardzo niepraktyczne, gdyż wrażliwe na brud — łatwo jednak sharmonizować je z całością umeblowania.

Jaskrawo kolorowo sufity stosuje się obecnie w bardzo rzadkich wypadkach. Częściej natomiast maluje się sufit w tonach jasnych, jeżeli nawet nie w kolorze białym. Miłe wrażenie wywiera sufit utrzymany w kolorze, o kilka tonów jaśniejszych od całego wnetrza. Mamy wtedy złudzenie, że pokój jest większy.

Dalej poruszyć należy kwestię okien. Celem ich jest przede wszystkim wpuszczanie do mieszkania światła, powietrza i ewentualnie słońca. Zatem powinniśmy się wystrzegać zbyt obfitych draperyj przy dekoracji okien, a także stor i materiałów gęstych. O dekoracji okien rozstrzyga rodzaj i położenie okna. Okna o brzydkich, starych formach powinno się odświeżyć, nadać nowy wygląd przez zawieszenie stor do usunięcia w porze wieczornej oraz lekkich, przejrzystych szali. Kolor jak i gatunek materiału firankowego winien harmonizować z charakterem całego wnętrza.

Klosze lamp powinny być możliwie lekkie, szczególnie w wypadku, gdy wiesza się je u sufitu. W małych, miłych mieszkaniach najodpowiedniejsze będą klosze lub podłużne rurki. Idealnym oświetleniem nowoczesnego mieszkania są lampy o nowoczesnych kształtach, wprawiane w ściany czy też w kąty ścian pokoju. Oprócz głównego oświetlenia, sprawia się zwykle jeszcze lampy stojące, których — kształt powinien być jednak dostosowany do lampy głównej.

Urządzenie mieszkania — to rzecz ściśle indywidualna, jednakże chcąc stworzyć piękną, artystyczną i estetyczną całość, musimy kierować się podanymi wyżej zasadami. D.

Ogólnopolski wyścig sztafetowy Biskupin-Żnin

Pierwszy ogólnopolski wyścig sztafet odbędzie się w niedzielę, dnia 11 września br. **na trasie 12,600 m. Biskupin—Żnin Wlkp.** o nagrodę przechodnią Ilustrowanego Kurjera Pałuckiego w Żninie. Start odbędzie się przy wykopaliskach biskupińskich, meta na terenie Targów Pałuckich w Żnine. Zespół sztafetowy składać się będzie z 3 zawodników, którzy przebiegną kolejno odcinki trasy I. — 350 m., II. — 4,500 m., III. — 4600 m. Poza nagrodą przechodnią (puchar), ufundowane są nagrody dla dalszych zespołów i indywidualnych zwycięzców. Wszyscy zawodnicy korzystają z bezpłatnego zwiedzenia wykopalisk biskupińskich, Targów Pałuckich, i Zakładów Wydawniczych Krzyckiego. Wieczorem odbędzie się wieczornica sportowa z tańcami w salach p. Smorowskiej Rynek. Zgłoszenia wraz z wpisowym 2 zł. kierować należy do : Pozn. Okręg. Zw. Lekkoatletyczny Podokręg. Żniński. Bron. Siuchniński, Żnin Wlkp Gnieźnieńska 7 m. 2, najpóźniej do 7 września br.



Wygodny i miły kącik do pracy w nowoczesnym wnętrzu.

Savoir vivre

Przyjmowanie gości

Gospodyni, mająca przyjąć gości, musi dokładnie się obliczyć i postanowić, ile ma gości zaprosić i stosownie do tego zrobić sobie kosztorys, poczynić zakupy (prowianty na zimne i ciepłe potrawy itp.), postarać się o czyste srebro (o ile możności), naczynia, szkło, upo-

rządkować pokoje, przygotować meble, i udekorować mieszkanie kwiatami, oraz pouczyć dokładnie służbę o szczegółowym programie przyjęcia gości.

Zaproszenie gości na przyjęcie należy rozesłać najmniej na tydzień lub 10 dni naprzód, gdyż spóźnione zaproszenie może się spotkać z odmową. Zaproszenie może być ustne lub pisemne. Na uroczyste, oficjalne przyjęcie zaprasza się korespondencyjnie (pocztą) w taki mniej więcej sposób: „Józefowie X... mają zaszczyt zaprosić Wielmożnych Państwa Y... na obiad (kolację), który(a) się odbędzie w domu zapraszających w niedzielę, dnia... o godzinie 18-tej.

Kraków, dnia... (Można podać adres, ulicę, nr. domu i mieszkania.)

Zaproszeni zwykle w ciągu kilku dni dziękują za zaproszenie i odpowiadają, czy przybędą, aby gospodyni mogła się upewnić, na ile osób może liczyć i aby ewentualnie kogoś innego jeszcze zaprosić.

Mimo stopni uroczystości, przyjęcia mogą być różne: skromniejsze i wystawniejsze. Stopień bowiem przyjęcia nie tyle zależy od stopnia uroczystości, ile raczej od preliminarza budżetowego, na jaki nas stać, chociaż i pierwszy wzgląd jest bardzo ważny.

Na wykwintne przyjęcia podaje się, podobnie, jak w restauracji, spis potraw (menu) na ozdobnych kartkach, które nabyć można w księgarniach i karty te stawia się na stole przed każdym z gości, opierając je o kieliszki.

Służba czysto ubrana (mężczyźni, jak kelnerzy, na czarno z białymi rękawiczkami, a kobiety w czarnym ubraniu, a białym fartuszku) — powinna mieć wszystkie naczynia przygotowane do stołu, do zmiany na osobnym stole, przykrytym białym obrusem. Powinna obsługiwać cicho, obnosząc po kolei półmiski po 2 razy i przy potrawach nalewać różne wino, a próżne butelki wymieniać na pełne, zaczynając podawać (wg. informacyj gospodyni domu) albo od osób najstarszych wiekiem, albo stanowiskiem. Na weselach od państwa młodych.

Pani domu oznacza czas podawania potraw. Zwykłe śniadanie między 13 a 14 godziną, obiady pomiędzy 18 a 19, a kolacje między 21 a 1 godziną. Godziny te mogą być przesunięte nieco wcześniej. Sama gospodyni zajmuje miejsce w środku długiego stołu, a gospodarz siada (ostatni) naprzeciw gospodyni domu; oboje mają po swych stronach (prawej i lewej) najzacniejszych gości.

Nakrycie stołu, jako tło zastawy, wymaga gustu i poczucia estetyki. Na stole dostatecznie wielkim, mającym od 60 do 70 cm. odstępu dla każdej osoby, zaściela się biały obrus, spadający poza stół naokoło 50 cm. Na brzegach stołu ustawia się talerze, obok nich po lewej stronie serwetkę, (przed serwetką imiona i nazwiska gości na biletach,) misternie ułożoną oraz talerzyki kompotowe z łyżeczkę, z prawej zaś łyżkę, nóż i widelec na podstawkach (srebrnych), przed talerzami znowu szklanki na piwo i kieliszki na wino. W środku stołu miejsce na kosze z owocami, torty i artystyczne dekoracje z kwiatów.

Przed śniadaniem do stołu podaje się wódkę i kanapki.

Na śniadanie lepsze składać się może rosół lub barszcz w filiżankach, paszteciki, ryby, kurczęta nadziewane, sałata lub kompot, sery i owoce, oraz czarna kawa i likiery.

Na takież obiady składać się może zupa, ryby, polędwica, indyki lub kurczęta, sałaty, kompoty, kalafiory, czy szparagi, lody lub kremy, oraz owoce i sery. A na kolację „auszpik" z wątróbki i mózgu, szynka gorąca lub pieczone kurczęta, czy indyki, sałaty, kompoty, torty, a wreszcie sery i owoce jak powyżej.

Na postne obiady podaje się zupę grzybową, rybną, piwną lub szparagową, jaja sadzone albo siekane lub ryby, wreszcie pierogi, albo omlety czy naleśniki itp.

Trzeba pamiętać, że należy zawsze wykorzystać potrawy sezonowe, czyli t. zw. nowalijki, a potrawy tak urozmaicać, aby się ich przyprawy nie powtarzały, przy czym dla panów należy dobierać potrawy ostrzejsze, a dla pań łagodniejsze.

Czarną kawę i likiery podaje się zwykle w pokoju innym, aby panowie mogli palić cygara i papierosy.

HIGIENA i zdrowie

Jarzyny i owoce w letniej diecie

W sezonie letnim ludzie zwykle ostrzą sobie apetyt na zupełnie inne potrawy, niż w pozostałych porach roku. Co prawda nie wszyscy ludzie reagują jednakowo na upały, ale nie ulega wątpliwości, że przeciętny człowiek szuka wówczas lżejszych potraw. W zjawisku tym objawia się sama natura i widzimy w tym również dowód, że to, co nazywamy apetytem, ma fizjologiczne podstawy. Mniej tłuszczów, mniej tłustych potraw, i mniej także ciężko strawnych potraw w tym sezonie — oto praktyka zgodna z zasadami zdrowia.

Należy jednak pamiętać o tym, że koniecznym jest spożywanie dostatecznej ilości odpowiednich potraw, nawet w czasie upałów i gorących dni, a to dlatego, aby zapewnić ciału potrzebną ilość żywotnych cząsteczek, czyli substancyj koniecznych do podtrzymania energii i sprawności w ludzkiej maszynerii. Innymi słowy, dieta powinna być zrównoważona. Mięso, kura, ryby, ser, mleko i jaja są w dalszym ciągu pożądane, ale z tą różnicą, że w lecie powinno się mniej spożywać tych potraw, niż np. w zimie.

Wobec obfitości świeżych jarzyn i owoców w obecnej chwili, należy się spodziewać, że wszyscy ludzie korzystają z tych artykułów żywnościowych w całej pełni, gdyż przyczyniają się one w dużym stopniu do zdrowia. Jeżeli ktoś nie jest jeszcze przyzwyczajony do jedzenia jarzyn i owoców, to właśnie letni sezon jest najlepszym, by zacząć przyzwyczajać się do tego. Liściaste jarzyny, jak kapusta, sałata i inne, a także pomidory, marchiew itp. nadają się doskonale do różnych kombinacyj, bardzo smacznych i zdrowych. Dobrze jest korzystać z tego rodzaju potraw codziennie. Takie jarzyny, jak szpinak, groch, buraczki, kapusta, marchew, fasolka, powinny być załączane do gotowanych potraw jarzynowych. W lecie dwie ugotowane zielone jarzyny są stanowczo pożądane każdego dnia, a surowa jarzyna w formie sałaty przynajmniej raz dziennie.

Z owoców należy korzystać w wielkiej mierze, zwłaszcza teraz, gdy jest bardzo łatwo o rozmaite owoce na rynku. Rozmaite jagody, melony brzoskwinie, śliwki, gruszki, czereśnie itd., działają naprawdę kusząco na apetyt, a są ogromnie zdrowe i w tej porze nawet niedrogie.

ŚWIAT i ŻYCIE

Królewska katedra w Reims

Francja obchodziła w tych dniach w Reims wielką, narodową uroczystość.

Ciche miasteczko słonecznej Szampanii, przybrane odświętnie brawnymi flagami, pulsowało niezwykłą radością i dumą, bo oto po latach zmartwychwstała, w całym swoim dawnym splendorze bezcenna skarbnica pamiątek, to sanktuarium Francji, przesławna katedra w Reims, od najdawniejszych czasów za królewską świątynię uważana.

Zdewastowana nieomal-że doszczętnie w roku 1914, w czasie barbarzyńskiego najazdu Niemców, którzy z jakimś wyrafinowanym sadyzmem znęcali się nad prastarą świątynią, bombardując pociskami jej cudowne rzeźby, raniąc słynne witraże, szczerbiąc dotkliwie strzeliste wieżyce i łuki, niszcząc historyczne ołtarze — przez lat kilka opierała się rozpaczliwie, ta królewska świątynia, zagładzie, niszczącej jej byt, a w momentach najniebezpieczniejszych w zagrożonej katedrze zrozpaczona ludność zanosiła korne modły do Pana Zastępów...

I ocalała...

Z całego kraju popłynęły wówczas hojne ofiary, a sam Rockefeller przeznaczył na cel odbudowy katedry kilkadziesiąt milionów dolarów.

Dzień 11 lipca wyznaczony został na uroczystość inauguracji świątyni. Liczne delegacje państw obcych stawiły się, by dać wyraz swej radości. Uroczystość uświetnili swą obecnością: nuncjusz papieski, prezydent Lebrun wraz z członkami Rządu, marszałkowie i generałowie, między innymi sławny obrońca Reims, jednoręki gen. Gouraud, uwielbiany marszałek Pétain, prymasi Anglii i Belgii...

Wzruszenie niezwykłe ogarnęło wszystkich, kiedy dostojny legat papieski, kardynał Suhard przemówił: „Gdyby kamienie do głosu dopuszczone być mogły, coby powiedziały? — że oto ta królewska świątynia na nowo odrestaurowana, z natury i powołania swego tak trwałą jest i nieśmiertelną, — symbolizuje bowiem na przestrzeni wieków kraj niezwykle rycerski i bohaterski, ożywiony najwznioślejszą ideą wolności, najlepszej rękojmi pokoju światowego. I dlatego nie wolno było pozostawić jej w ruinie, nawet, gdyby te miały dawać przyszłym pokoleniom świadectwo bezprzykładnego barbarzeństwa Niemiec, gdyż świętokradztwem byłoby dopuszczenie rzeczy świętej do zagłady! Po wsze czasy musi pozostać ona jako symbol zmartwychwstałej Francji... triumf sprawiedliwości nad gwałtem".

I słusznie... Katedra ta bowiem promieniowała zawsze na cały świat katolicki mocą swą i światłem, a mury jej przez 14 w. były widownią największych triumfów Francji ale i jej strat i bólów. — Wnętrze jej wchłonęło najświętsze wspomnienia Francji i wydarzenia swego bohaterskiego narodu.

Wszak powstała ona na miejscu, w którym z rąk św. Remigiusza przyjął chrzest św. w r. 469 pierwszy król Francji Klodwig, a potem przesunął się poczet innych monarchów, którzy tu na królów wyświęcani byli... W tych murach przechowuje się również pamięć bohaterskiej dziewicy Orleańskiej, która przeżywała tu chwile swego największego triumfu, koronacji Karola VII-go.

Każdy, kto zwiedza pamiątkową tę katedrę, ten cud architektury gotyckiej, pominąć nie może rozsiadłego u jej murów, a owianego nimbem historii, czcigodnego miasta Reims, pokrytego patyną stuleci. W ogóle na mieście tym każdy wiek pozostawił swe piętno.

Powstanie jego datuje się już z czasów rzymskich o czym świadczy wspaniały łuk triumfalny. Średniowiecze, pamiętne przez organizowane wyprawy krzyżowe oraz epopeja natchnionej Joanny d'Arc również pozostawiły tu swoje ślady. Wszystkie te jednak pamiątki maleją i nikną wobec tego poematu przecudnej koronki w kamieniu katedry, która dominując nad całą roześmianą Szampanią strzelistymi swymi wieżycami, zda się światu całemu głosić błogosławieństwo p o k o j u.

Janina Bełza.

Na zawrót głowy cierpią ryby w okrągłych akwariach

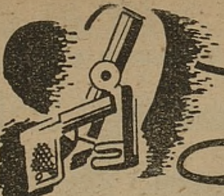
W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zrobiono ciekawe spostrzeżenie, że ryby w okrągłych akwariach cierpią na zawrót głowy, co się źle odbija na ich hodowli. Wobec tego na zgromadzeniu hodowców ryb szlachetnych zapadła uchwała, żeby we własnym interesie wycofać z użycia tego rodzaju akwaria.

Z ŚWIATA

Kwiat o smaku bananów

W Ameryce południowej odkryto niedawno nowy gatunek rośliny z grupy włóknistej, która odznacza się olbrzymim kwiatem o zapachu bananów. Odkrycie tej dziwnej rośliny nastąpiło w warunkach dość niezwykłych.

W pewnej okolicy, pokrytej gęstymi zaroślami, botanicy poczuli zapach bananów, mimo, że w całej okolicy nie było tych owoców. Co dziwniejsze, w kierunku, skąd dochodził zapach, prowadziły ślady zwierząt, odciski kopyt i t. p. Uczeni, idąc w tym kierunku, zauważyli jeden z kwitnących krzewów, który wydzielał charakterystyczną woń banana. Zauważono, że liśćmi wonnego i smacznego kwiatu zajadają się zwierzęta, zwłaszcza nietoperze, małpki i inne zwierzęta puszczy południowo-amerykańskiej. Kwiat rozsiewa najsilniejszą woń nocą i w tej porze też najchętniej korzystają z niego zwierzęta.



Litka

I. STRZEMIE-PIECZKOWSKA

Litka słyszy rozgłośne bicie dzwonów. Słyszy daleki szum morza. Słyszy swoje własne szlochanie, wydzierające się z piersi poza jej wiedzą i wolą. Powieki ciążą na oczach. W zupełnej ciemności leży bezwładnie i nie może sobie zdać sprawy, gdzie jest i co się z nią dzieje.

Czuje, jak z głębokiej przepaści coś ją bardzo powoli ciągnie w górę. W oczach jej się zaczyna rozjaśniać, słyszy wokół siebie jakieś głosy, lecz co chwila spada z powrotem na dno.

Wreszcie otwiera oczy.

Słodki, mdlący zapach chloroformu i eteru uderza w nozdrza. Pierwsze spojrzenie jej pada na pochyloną nad nią twarz lekarza i wybucha jeszcze gwałtowniejszym łkaniem, a jednocześnie ogarnia ją szalone uczucie szczęścia, że żyje, że jest, że go jeszcze widzi.

— Będzie żyła — słyszy jego drgający wzruszeniem głos.

. . . .

Mijają dni... W szpitalnych ścianach ból i jęk. Śmierć błąka się po salach... Czujna i zawsze gotowa...

Ale on zamknął przed nią drzwi pokoju Litki.

Dusza Litki jest pełna jakiejś dziwnej ciszy, jakiegoś wielkiego spokoju i bezwładu.

Całymi godzinami na białym łóżku szpitalnym leży nieruchomo, z oczami przymkniętymi, pogrążona jak gdyby w półletargu.

Doktór Popiel odwiedza ją codziennie.

Litka otwiera wtedy oczy i przez chwilę patrzy na niego z wyrazem bezgranicznej błogości, szczęścia i... rozpaczy.

Nie mówi nic. Usta jej milczą niezdolne wymówić ani słowa. W oczach tylkoześrodkowuje się cała głębia targających nią uczuć.

W jego oczach jest bezdeń bólu i tragizmu.



Pozostaje przy niej dłużej niż by tego wymagała wizyta lekarska.

Bez słowa siada blisko i kładzie jej rękę na czole, lub przesuwa nią delikatnie po złocistych włosach.

Litka zamyka oczy. Bolesny acz pełen bezmiernej słodyczy uśmiech rozlewa się po jej bladej jak opłatek twarzy.

Jest jej tak dobrze, tak przedziwnie cicho, tak nieziemsko spokojnie.

Oboje nie mówią do siebie nic. Cóż mogą sobie powiedzieć?

Każde słowo, które mogliby wyrzec, byłoby bólem, rozpaczą, raną, krwią serdeczną. Więc milczą.

. . . .

Jakże to wszystko się zaczęło? Jak to się stało?

Był ich lekarzem domowym i przyjacielem już od wielu lat. Litkę uważał za dziecko, choć miała już lat szesnaście.

Taka była drobniutka i szczupła. I często zapadała na zdrowiu.

Doktór Popiel był uosobieniem męskiej urody i siły.

Od dzieciństwa Litka darzyła go wielkim zaufaniem i sympatią, graniczącą wprost z uwielbieniem.

Najgorsze, najniemożliwsze lekarstwa połykała bez sprzeciwu, bo doktór Kazio tak kazał.

Z biegiem lat jednak w jej dziecięcym uczuciu zaczynało się coś zmieniać.

Litka oblewała się rumieńcem, ilekroć doktór Popiel spojrzał na nią, lub do niej przemówił.

Zaczynała się stawać dziwnie tęskna, rozmarzona i nazbyt wrażliwa. Raz była szalenie wesoła, roześmiana, to znów za najbłahszą przyczyną wybuchała płaczem.

Któregoś wiosennego dnia Litka zachorowała.

— No, zbadamy te płucka...

Przyjemnie pachnąca głowa delikatnie przytula się do piersi Litki.

Litka drży i czuje jak serce podchodzi jej do gardła.

— Ej, cóż takie niespokojne to serduszko? — pytał doktór Popiel swoim aksamitnym, miękkim głosem.

Od tego się właśnie zaczęło.

Od tego dnia już to serduszko spokoju nie zaznało.

Każda bytność doktora Popiela w domu rodziców Litki, każde jego spojrzenie, każde nic nieznaczące słowo rozżarzało ten płomień, który niszczącym pożarem z żywiołową namiętnością po raz pierwszy w życiu ogarnął duszę Litki.

Już oprzeć się mu nie umiała, ani walczyć z nim nie miała siły.

Porwał ją wir szalony i bezprzytomną wciągnął w siebie, w głęboki, niebezpieczny nurt, w którym pogrążyła się bezwolnie i całkowicie.

Doktór Popiel nie dostrzegł niczego.

Stany psychiczne Litki, jej wybujałą nerwowość, jej zmienność usposobienia przypisywał wiekowi, dokonywującemu gruntowną przemianę w jej organiźmie.

. . . .

Pewnego dnia powiedziała mu, że go kocha.

Czy ona mu to powiedziała? Nie. To serce jej tak krzyknęło, niezdolne już dłużej na uwięzi trzymać tego słowa, które po nocach bezsennych wysyłała ku niemu, płacząc z rozpaczy i szczęścia.

Był wiosenny zmierzch majowy. Odurzająco pachniały bzy. Słowiki w grodzie zanosiły się namiętnym łkaniem.

Po przebytej chorobie Litka leżała jeszcze w łóżku.

Z otwartych okien bił oszałamiający zapach wiosny i do bezpamięci upajał tajemniczym kochaniem wezbrane serduszko Litki.

Przyszedł doktór Popiel.

— A, jaka niegrzeczna dziewczynka, tak długo choruje, i patrzy na nią głębokimi szafirami swych pięknych oczu, następnie pochyla się nad nią, by jak zwykle na powitanie pocałować ją w rękę.

Litce nagle w oczach pociemniało. Spadła na nią jakby purpurowa zasłona ,pod którą zginął cały świat i rzeczywistość i świadomość wszystkiego.

Jakby zapadając w nieziemską ekstazę, zupełnie nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, ruchem omdlałym Litka podnosi ramiona i zaplata je na szyi pochylonego nad sobą mężczyzny.

— Kocham... Kocham... — szepcze nieprzytomnie.

I w tejże chwili czuje na ustach pocałunek... Długi, rozkosznie zapierający oddech, nieznanym szczęściem przejmujący, pierwszy w życiu taki pocałunek.

Miękkie, gorące wargi słodko, pieściwie, a mocno obejmują jej małe usteczka i tulą i piją z nich rozkosz do ostatniej kropli, do dna.

Litka nie wie, czy minęła chwila, czy godzina, czy wieczność.

Poprzez czerwoną mgłę oszołomienia do uszu Litki, poza jej świadomością, dolatują dziwnie stłumione słowa:

— Dziecko... Maleńka dziewczynko... Przebacz... Zrozum.... Żona... Obowiązki.

Długo tak mówił głosem cichym, łagodnym, kojącym, lecz Litka nie rozumiała już nic.

W duszę jej raz po raz uderzają dwa tylko wyrazy:

— Żona... Obowiązki...

. . . .

Jeszcze parę tygodni szarpania się z własnym sercem, walk i rozpaczliwych wysiłków... Wreszcie przyszedł kres nerwów i sił.

W pewną noc duszną, parną, gorącą, gdy białe lilie i nikocjany duszącym zapachem zalewały pokój, heroicznym wysiłkiem z objęć rozpaczy i męki wyrwała się Litka i pobiegła wprost w objęcia wyzwolenia i wiecznej ciszy.

Krótki, suchy trzask rewolweru... I złotowłosa główka Litki zwisa bezwładnie, a z piersi jej sączy się czerwona strużka krwi.

Przeznaczenie chciało inaczej: Zawróciło ją z drogi ucieczki.

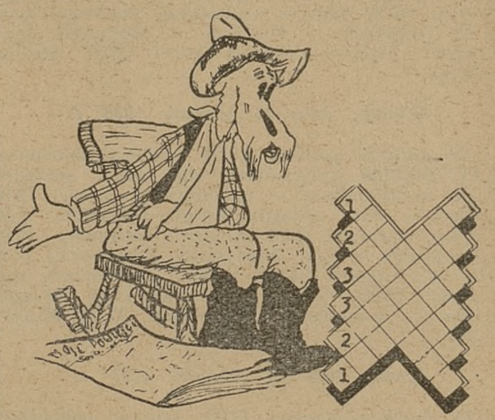
I oto Litka stanęła oko w oko z prawdziwym życiem i prawdziwym cierpieniem.

Irena Strzemię-Pieczkowska.

Chwila zastanowienia

ŁAMIGŁÓWKA

Ul. F. Gałecki



Wpisać wyrazy podług określeń w prawo, w dół i w górę od porządkowych cyfr, tak, by się krzyżowały identycznie.

Znaczenie wyrazów

1. Futerał z papieru. 2. Miasto urodzin Jezusa. 3. Inaczej sito.

DOPEŁNIANKA

pod. M. Gal.

T..k. .a m.ł... K..ie..,ach p.t.,a s,. c..o..e. — Wie..i. o.i.a

Roderich.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 26 sierpnia br.

Rozwiązanie zadań z numeru 32 „Moich Powieści":

I. Krzyżówka

	t		s				s		a	
t	a	n	k				l	i	r	a
	r	■	a	p	■	p	e	■	a	
a	g	a	w	a	■	e	p	o	k	a
		m	a	r	a	t	o	n		
		■	■	a	l	a	■	■		
		t	a	w	e	r	n	a		
s	t	e	f	a	■	d	e	n	a	t
	a	■	e	n	■	a	r	■	r	
e	m	i	r				w	i	k	a
	a		a				y		a	

II. Szarada: Wakacje.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kawecki Wincenty — Modzerowo, Litecki Jan — Gruta, Lenart Tadeusz — Rakowice, Wysocka Henryka — Białystok, Golimuntowicz Wanda — Dukla.

Nagrody w drodze losowania otrzymali pp.: Wysocka z Białegostoku i Litecki z Gruty.

Radio

Niedziela, dnia 21 sierpnia 1938 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Nabożeństwo z kościoła św. Antoniego w Chorzowie 10.30 Muzyka z płyt 12.03 Poranek symfoniczny 13.00 „Dwie miłości Cypriana Norwida" — szkic literacki 13.15 Muzyka obiadowa 15.00 Audycja dla wsi 16.30 „W gościnie u generała Dąbrowskiego" — kurant staroświecki 17.30 Tygodnik dźwiękowy 18.00 Podwieczorek z tarasu gmachu Polskiej Y. M. C. A. 20.05 Duety fortepianowe z płyt 21.00 Migawki amerykańskie — „Wesoła Syrena" 22.00 „W muzykalnym pensjonacie" — audycja z cyklu „W letni wieczór".

Poniedziałek, dnia 22 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Wyprawa po skarby" — powieść mówiona dla dzieci 16.00 Koncert rozrywkowy 16.45 Wśród rodaków w Brazylii — pogadanka 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Recital klarnetowy Ludwika Kurkiewicza 18.30 Audycja konkursowa Polskiego Radia 19.00 Transmisja z Festiwalu w Salzburgu opery Straussa „Kawaler srebrnej róży" 23.37 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 23 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Zagadka geograficzna dla dzieci starszych „Jakie to są miasta — zgadnijcie i basta" 16.00 Koncert w wyk. orkiestry Rozgł. Wileńskiej 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert kameralny 19.00 Arie operowe w wyk. Władysławy Żelazowskiej 19.30 „Na balu sprzed ćwierć wieku" — koncert rozrywkowy 20.55 Audycja dla wsi 21.10 Muzyka duńska — transmisja z Kopenhagi 22.00 Muzyka z płyt.

Środa, dnia 24 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.00 Gra sekstet salonowy Stefana Rachonia 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert solistów 19.00 Utwory wiolonczelowe w wyk. T. Kowalskiego 19.30 „Wspomnienia z dzieciństwa" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 21.10 Koncert chopinowski w wyk. Jana Bereżyńskiego 22.00 „Pięć wieków dawnej muzyki" — audycja XI-ta.

Czwartek, dnia 25 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Wyprawa po skarby" — powieść mówiona dla dzieci 16.00 „Melodie północy" — koncert 17.00 Transmisja otwarcia dorocznej wystawy radiowej 18.30 Słuchowisko: „Pełną parą na Hong-Kong" 18.35 Reportaż o wystawie radiowej w Warszawie 19.00 Zespół ludowy Franciszka Kosińskiego 19.30 „Podróżujmy" — koncert rozrywkowy 20.45 Audycja dla wsi 21.00 Transmisja z II Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Kameralnej 22.00 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 26 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 „Sianokosy na Polesiu" — opowiadanie dla dzieci 15.30 Rozwiązanie zagadki geograficznej z dnia 26 lipca „Tajemnicza podróż wuja Hilarego" 16.00 Suity w wykonaniu orkiestry Rozgłośni Wileńskiej 17.00 Koncert kapeli ludowej z I. W. R. 18.00 Elektryczne oczy — pogadanka 18.10 Utwory fortepianowe Jana Brahmsa 19.00 „Pieśni trubadurów i wagantów" 19.30 „Dla każdego coś ładnego" — koncert rozrywkowy 21.00 Audycja dla wsi 22.00 Koncert symfoniczny. W programie muzyka francuska.

Sobota, dnia 27 sierpnia 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.15 Słuchowisko dla dzieci „Skrzydlaty chłopiec" według powieści Makuszyńskiego 16.00 „Na manewrach" — audycja muzyczna 16.45 Jak żył i myślał szlachcic polski — felieton 17.00 Muzyka taneczna 18.10 Koncert solistów 19.00 Gra zespół Miszułowicza i Butkiewicza (transmisja z D. W. R.) 20.00 Audycja dla Polaków za granicą 20.45 Audycja dla wsi 21.00 Transmisja z Rzymu oper Pucciniego: „Płaszcz" i „Siostra Angelica."

HUMOR

DROBNE OGŁOSZENIA

— Kupię wagon świeżego powietrza. Najchętniej z okolic Zakopanego. Próbki proszę przysłać pod adresem: Warszawa, Poste-restante „Zamiast urlopu".

—o—

— Przerabiam dziury w starych ubraniach na nowe. Angielska metoda. Krawiecka wytwórnia mistrza Niteczki.

—o—

— Sprzedam stary — ale jeszcze w zupełnie dobrym stanie — mandat poselski. Łaskawe oferty pod „Były poseł".

—o—

— Zgubiłem 20 groszy. Łaskawy znalazca raczy, za wynagrodzeniem zwrócić pod adresem: Tworki „dla naiwnego".

SZKOCI

Mac Gregor — rasowy Szkot — kupił sobie 100 drogich cygar i ubezpieczył je od ognia. Potem wypalił je i zażądał wypłaty odszkodowania.

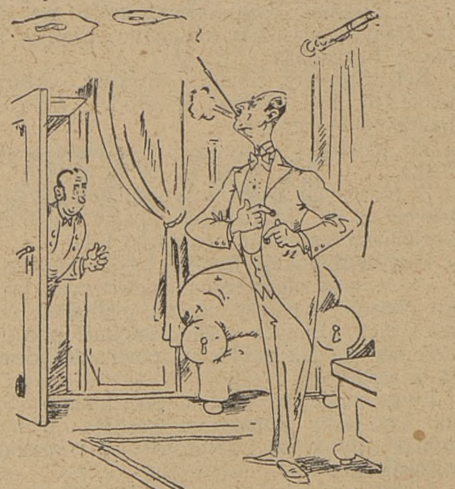
Ale dyrektorem Towarzystwa Ubezpieczeń był również Szkot. Premii nie wypłacił, ale oskarżył Mac Gregora o złośliwe podpalenie ubezpieczonej ruchomości.

NIE PILNO MU

Pan Antoni stara się o posadę:

— Dobrze przyjmiemy pana — oświadcza dyrektor. — Na początek dostanie pan 100 zł a później więcej.

— No to ja przyjdę później — odpowiada skromnie pan Antoni.



— Kocha!... Nie kocha! Kocha!... Nie kocha!... Janie, przyszyj jeszcze jeden guzik!...

DLACZEGO

— Lloyd George był dla Anglii tym, czym Joanna d'Arc dla Francji — oświadczył jeden z mówców na wiecu wyborczym stronnictwa liberalnego w Londynie.

— W takim razie — rozległ się okrzyk z tłumu — dlaczego go dotychczas nie spalono?

W NIEDALEKIEJ PRZYSZŁOŚCI

W Rosji Sowieckiej krąży taka anegdota: W sowieckiej encyklopedii z r. 1938, pod literą R. będzie figurować:

„Rosja. Obszar 21.000.000 km. kw. Ludność — 1 człowiek. (Józef Stalin).

OŚWIADCZYNY

— Pani jest tak młoda, a ja tak stary... Czy zechce pani zostać moją wdową?

W BIURZE

— Słuchaj, poco ci aż dwie maszynistki? Czy masz tak dużo pracy?

— Nie, odwrotnie, mam dużo wolnego czasu.

SŁUŻBISTA

— Bój się Boga, za godzinę pogrzeb twojej teściowej, a ty jeszcze siedzisz przy biurku.

— Teściowa nie ucieknie. Najpierw praca, a później przyjemność.

PO AMERYKAŃSKU

Pewien milioner wybrał się autem na małą przejażdżkę i uległ katastrofie, jest bardzo potłuczony. Chłopi zanoszą go do jakiejś fermy. Gospodyni, aby doprowadzić go do przytomności, daje mu szklankę mleka z wódką.

Ranny wypił osobliwy napój jednym duszkiem i szepcze:

— Dam trzy tysiące dolarów za tę krowę.

NA EGZAMINIE

Mojsze składa egzamin z prawa. Otrzymuje pierwsze, drugie, trzecie pytanie — na żadne nie umie odpowiedzieć.

— Może pan profesor zada mi jakieś łatwiejsze pytanie.

— Bardzo chętnie: Jak zdrowie pańskiej babci?

SŁUSZNIE

Na meczu footbalowym publiczność okłada jakiegoś jegomościa.

— Za co go biją? — pyta ktoś.

— Za to, że rzucił w sędziego kamieniem.

— Przecie nie trafił.

— Właśnie, dlatego go biją.

NA EGZAMINIE

Proszę mi wskazać najważniejsze czynniki, ograniczające swobodę woli.

— Wystarczy jeden: brak pieniędzy.

DOBRY SOBIE

— Dzień dobry wujku. Jak widzisz, znowu dostałem tydzień urlopu.

— Masz szczęście, chłopcze. A dlaczego dano ci urlop?

UGODOWO

Ojciec: — Co za szelma z tego chłopaka, walę go, a on nawet nie zapłacze.

Syn: — Niech tatuś nie wali, to będę płakał.

DZIECIĘCA FILOZOFIA

Janek i Marysia rozmawiają o chłopcach i dziewczynkach. Marysia w pewnej chwili oświadcza:

— Ja wolałabym być chłopcem niż dziewczynką.

— Trzeba było powiedzieć przed chrzcinami. Teraz już za późno.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.